№ 2. Warszawa, dnia 13 (1) Stycznia 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Walka o byt.

II.

(Socyologia szlachecka).

W szeroko brzmiącej, zwłaszcza po hotelach europejskich, naszej sławie narodu szlacheckiego tkwi niewątpliwie dużo przesady i nieporozumień, ale zarazem dużo prawdy. Bez racyi całe społeczeństwo nie otrzymuje stale powtarzanego przydomka, nie okrywa się śmiesznością, nie przedstawia się całemu światu jako przedawniony anachronizm. Rzeczywiście, racya ta tkwi w naszem życiu widocznie, mimo niezaprzeczonych i szczęśliwych postępów, jakich dokonaliśmy w ostatniem stuleciu. Od czasu, gdy Staszic pisał swoje *Przestrogi*, ten najpotężniejszy w literaturze naszej protest przeciwko uprzywilejowaniu jednej klasy kosztem innych, przez lat sto zmieniliśmy się bardzo: ani chłop nie jest wynędzniałym niewolnikiem, ani szlachcic wszechwładnym panem, przez jedne klasy społeczne przebiegł prąd, który ukorzył zbytnią pychę, a przez drugie inny, który ośmielił zbytnie upokorzenie. Mimo to wszakże jesteśmy dotąd może najmniej zdemokratyzowanym narodem w Europie; pozostał, jeżeli nie w naszych stosunkach, to w pojęciach jakiś podział kastowy, który nie pozwala rozmaitym żywiołom zlać się w jednolitą całość. Tylko obywatelstwo szlachty jest dawne, obywatelstwo mieszczan, chłopów a nawet pewnych wyznań (żydów) bardzo młode, dlatego nieśmiało i często lekceważone. Nie zaprzeczając wpływu pomyślniejszym warunkom rozwoju, zarazem słusznie rzec można, że stosunkowo nagły i szybki wzrost innych ludów słowiańskich (nadewszystko czechów) znaczną część swej siły czerpie w zrównaniu się stanów, w braku przepaści, oddzielających je między sobą moralnie. I dlatego właśnie wytrzymują one lepiej od nas walkę o byt. U nas bowiem ciągle na obszarze pierwiastków uznanych za poślednie — ludu i mieszczaństwa — pływają ubogie ilościowo a niezbyt imponujące jakościowo kółka oliwy społecznej — arystokracyi rodowej, pieniężnej, urzędniczej i umysłowej — które z ogółem łączą się niemal mechanicznie. Tego wzajemnego przerośnięcia żywiołów, które widzimy za granicą, my nie posiadamy. To też rozwój rozmaitych warstw odbywa się prawie niezależnie; objawia on się albo na dole, albo u góry, albo w środku; postęp narodowy, *ogólny* jest tylko frazesem, któremu rzeczywistość nie odpowiada.

Ważnem znamieniem naszego liberalizmu nazwać można jego troskliwe zajęcie się ludem i obroną interesów klas niższych. Dość świeżej daty zwrot ten wydał się jednym sztuczną socyologiczną sielanką, innym — gabinetową chłopomanią lub nawet „posiewem nienawiści." Słyszymy dotychczas szyderstwa z tego zapału, nawołujące do poznania „umiłowanych chłopków," tej ciemnej, rozzuchwalonej i niepatryotycznej hołoty, która nielitościwie wyzyskuje nowonabyte prawa i nienasyconem samolubstwem rujnuje kraj ekonomicznie. Przyjdźcie — wołają posiadacze większej własności — i zobaczcie ten wasz ukochany ludek, wejdźcie z nim w stosunki, oddajcie mu się na pastwę przywilejów służebnościowych — i wtedy dopiero wyśpiewajcie na cześć jego hymny. W tej replice spoczywa główne nieporozumienie i nieznajomość tendencyj postępowych. Nie przeczymy, że nasz chłop jest gatunkiem nieokrzesanym, egoistycznym, solidarność swą z całością narodu słabo odczuwającym; ale czyż wół lub koń wyżej od niego stoi, a jednakże staramy się go zużytkować w gospodarstwie i nie gardzimy nim, choć wierzga i bodzie. Społeczeństwo zaś jest właśnie olbrzymiem gospodarstwem, które powinno się starać, ażeby żadna jego siła nie marniała, lecz dochodziła do możliwej potęgi. Słabość nasza jest nietylko wynikiem warunków zewnętrznych, ale także nierównomiernego, jednostronnego rozwoju. Bogactwo materyalne i duchowe nie gromadzi się, a przynajmniej gromadzi się nie w równym stosunku ze wszystkich swych źródeł, ze wszystkich warstw. Podczas gdy jedne są w ciągłym, chociaż powolnym ruchu, inne pozostają martwe, nie przyjmują należytego udziału w postępie dobrobytu i cywilizacyi. Owa przeto „chłopomania" nie jest niczem innem, tylko chęcią rozszerzenia żywotności i energii do najniższych pokładów społecznych i połączenia ich z innymi.

Kto u nas dostarcza inteligencyi krajowi, kto rozwija jego przemysł i handel — wiadomo: możnowładztwo, mieszczaństwo i sfera urzędnicza. Lud zachowuje się biernie i tylko jak wypuszczony z lochu Ugolino nasyca głód wszystkiem, co prawnie i nieprawnie zdobyć może. Po dwudziestu latach żarłocznego pochłaniania dobrodziejstw zmienionej doli albo już nakarmił się, albo nakarmi się niedługo. Wtedy zapragnie wyjść z dotychczasowego barbarzyństwa, użyć szlachetniej swego obywatelstwa, oświecić się, dźwignąć wyżej, rozszerzyć krąg swej pracy. Czy znajdzie nas, dumnych z herbu w kraju, z *von* lub *de* za granicą, gardzących tłumem, unoszących się coraz wyżej ku górze, w miarę jak grunt nam z pod nóg ucieka, zaczytanych w genealogii i szlacheckiej tradycyi? Bynajmniej. Staną naprzeciw siebie dwa obce, słabo zbratane żywioły, które nie uścisną się przyjaźnie, lecz powiodą dalej stare zapasy, tylko już z ostrzejszym przebiegiem. W naszym ciemnym ludzie, w tym szlamie społecznym spoczywają niezli-

…zone zarody obywateli kraju, rodzą się czynniki niezmiernie ważne, a my albo nań plujemy, albo pielęgnujemy go jako charakterystyczną ozdobę wiejskiego krajobrazu. Gdy rozmyślamy o przyszłości i gdy ją w marzeniach naszych rozjaśni jakieś pogodne światło, widzimy tam wszystkich *nas*, ozdobionych wieńcami zasługi, tylko nie dostrzegamy ciemnych i złych chłopów. Oni jedni będą stali zdaleka i przypatrywali się głupowato obchodowi ogólnego szczęścia, który zakończy ich erę pasania na dworskich gruntach i wycinania dworskich lasów. Taką jest nasza socyologiczna muzyka przyszłości. Że błędna — to mniejsza, ale że szkodliwa — to wzgląd praktycznie smutniejszy. Powolani bowiem do przewodniczenia ogółowi, wyrzucamy po za kres jego starań i nadziei wielką masę sił drzemiących, które się niezawodnie obudzą, ale wówczas, gdy czuwający dziś zasną.

Pomijając zatem wszelkie teorye i sztandary, sam interes społeczny, sama potrzeba walki o byt wskazuje nam konieczność rozwalenia chińskich murów kastowych, …asnej socyologii szlacheckiej …a żadnym czynnikiem, który …ności kraju przyczynić się może. Dziś podobni jesteśmy do starych polskich wojaków, którzy brali z sobą na wyprawę chłopów, ale do czyszczenia koni i obuwia—nieprzyjaciela odpierali sami. Nieraz składali dowody wielkiego męstwa, ale ostatecznie przekonali się, że gdyby hajducy, zamiast bezczynnie czatować na służbie, walczyli również uzbrojeni przy ich boku, rezultat zapasów byłby inny. Doświadczenie to przypomina się nam dziś niejednokrotnie. *My* uważamy się tylko za powołanych do szeregu, a ciemna i nieświadoma wyższych celów czerń niech się tylko przypatruje naszej odwadze.

Omyłka i gruba omyłka! Ta czerń, dziś bierna i dzika, zaważy decydująco na szalach naszej przyszłości. Sama szlachta, samo mieszczaństwo w połączeniu z „inteligencyą" walki o byt nie wytrzyma, jeżeli lud tych żywiołów nie wesprze. Gdy on wzmoże się materyalnie i podniesie umysłowo, otworzą się w społeczeństwie obfite źródła nowych sił, których dziś nie posiadamy.

Każda idea zmienia postać i odrazu zdobywa moc przekonywającą, gdy wystąpi jako racya praktyczna. Otóż praktyczną wartość ma a przynajmniej mieć powinna dla nas idea równouprawnienia wszystkich stanów w godności obywatelskiej, jeżeli nie chcemy przegrać walki o byt.

A. S.

GAMBETTA.

(1838 — 1882)

Paryż, d. 5 stycznia.

Wiosennym uśmiechem przywitało słońce nowo narodzony rok. Wesoła jasność pierwszego dnia zdawała się wróżyć szczęście narodowi, skołatanemu walką o wolność dla siebie, o przyszłość dla świata. Ale dnia tego nadzieja we Francyi zagościć nie mogła. Jasne promienie światła, jak żałobne szlaki, padały na czarną mgłę smutku, obłóczącą naród cały.

Tej nocy skonał najlepszy syn ojczyzny. Zgasł bohater, wielki jak niewygasły w powodzi napoleońskich zbrodni gieniusz Francyi; ten, co pod stopy zwycięskiego wroga rzucił patryotyzm, zionący groźbą rozpaczliwej obrony i nieprzedawnionego nigdy odwetu; co napadniętą Respublikę zasłonił piersią własną. Ostygły usta, przestało bić serce, którego każde uderzenie poświęcone było dla dobra kraju, dla szczęścia jego wielkości!

W ostatniej minucie 1882 roku umarł Leon Gambetta. Nietrzeba być francuzem, aby bólem serca odczuć cios straszny, jaki spotkał nieszczęśliwy naród.

Kiedy pruskie pułki dochodziły do sztachet Tuilleryjskiego grodu, białe posągi miast złowrogo i groźnie spoglądały na najezdcę z po za czarnych masek. Dziś takie maski trzeba by było im włożyć powtórnie; żałobną zasloną trzeba by było zakryć i oblicze Rzeczypospolitej.

Co za przygniatające wrażenie! Czy podobna, aby on umarł?

— Zamordowała go śmierć — w… się ze zbolałych piersi narodu.

W Berlinie musi panować dzika r… Francya bez wojska miała Gambett… geniusz. Dziś jest kaleką, obezsilon… dawnemi klęskami. Piekielne szczęś… żelazny książe!

Tem straszniejsza boleść, że w z… nieniu wewnętrznych zapasów k… krzywdę wyrządzono mu nieraz niecn… dejrzeniem. Dziś niesprawiedliwość… cze jak wyrzut sumienia. W chwila… piecznych drażniono się z olbrzyme… każdy czuł, że gdy nadejdzie dla F… straszna chwila nieszczęść, on sta… czele narodu, on, obleczony sławą… pomnianych zasług, on, lśniący n… geniuszu. Kochanek narodu w okr… dniach 70—71 roku. W głębi duszy … cy czuli, że zarzuty wszelkie — nie… cznością jedną, że wobec brzmie… tryotyzmu inne głosy w jego serc… tylko szeptem stłumionym.

Zaledwie 44 lat dobiegał, a życ… jaśnieje już legendową wielkością. … ty nieprzyjaciół syczą, jak świst … w grzmiącym hymnie dobranej kap…

Popełnił tyle błędów! Łatwo zost… omylnym, nie robiąc nic. Kto tak … i tyle zdziałał, co Gambetta, temu… ujmy nie przynoszą.

Ostatnie piętnastolecie historyi F… jest dziejami jego czynów.

Ucisk Napoleona dochodził do n… szego napięcia; zdawało się, że o… iskierka niezależnych dążeń wygas… terani 48 roku opuścili ręce, młodz… pał traciła na drobne wybuchy, do… cznego życia dostępu nie było. Nagl… ga się głos świeży, pewny, potężny … wiada wznowienie przygasającej wa…

W 1868 r. pociągnięto do odpowi… ności Delescluze'a, redaktora *Ré…* zbieranie składek na pomnik B… który poległ na barykadach… protestując przeciwko … ność. Delescluze na ob… znanego adwokata — … Młodzieniec 30-letni za… sobność, mównicę ad… w trybunę polityczną. Nie bron… oskarża napoleonizm o wszystkie zb… gwałtu, potężnym słowem piętnu… dlone jego sługi. Naprożno prezy… naprożno prokurator starają się … wać. Słowa ich to kamyk rzucony … trzymania potoku. Potok coraz pot… szy, coraz wyżej wzbiera.

---

2)

Trzy spotkania.

W dziesięć lat potem, ciągnąc parokonną bryczeczką po nędznej litewskiej drodze, zbliżałem się ku granicy Białorusi, to jest tam, gdzie złe się kończy a gorsze zaczyna. Drobny deszczyk jesienny, zwany u nas kapuśniaczkiem, nie wiadomo dla czego, pruszył przez dzień cały. Pod wieczór, otrzymawszy zasiłek z ciemnych chmur, co się snuły po całym horyzoncie, zaczął kropić śmielej, wiatr skierował go prosto w oczy mnie, woźnicy i biednym szkapom, które we dwie tylko dwoje oczu posiadały i to w niezbyt pożądanym stanie. Zmrok nasunął się wcześniej, niżby należało. Szkapy wlokły się noga za nogę, miesząc rzadkie błoto, postępowały z rezygnacyą, czasem tylko strzygły uszami, albo gdy błoto na grzbiet się dostało, próbowały zetrzeć je ogonem; były to jedyne buntownicze oznaki przeciw przeznaczeniu. Furman, zdrowy malec lat dwudziestu, w kożuchu i siermiędze, z czapką nasuniętą na uszy, opuścił ręce na kolana, bicz zasuniętą za kołnierz, spozierał obojętnie na błotnistą drogę; nie miał zamiaru zachęcać szkap do pośpiechu, widział, że to byłoby daremnem, a może przyśpieszony ruch nie odpowiadał jego usposobieniu. Jeżeli zdawało się, że która targnęła naprzód, on nie podnosząc głowy, mruczał pod nosem:

— No, czego rwiesz się, czego?... Zdążysz!.. nie narwała się jeszcze!

Szkapa wracała do miarowego kroku, a chłopak jeszcze głębiej zasuwał brodę za kołnierz. Cóż miałem począć wobec tych istot, tak doskonale pogodzonych z losem? Podawałem projekt malcowi, żeby spróbował popędzić. Zwrócił się do mnie uśmiechnięty:

— Można byłoby, tylo co konie iść nie chcą — odrzekł, spojrzał na bicz, potem na grzbiety końskie. Zajedziem—dodał zrezygnowany.

Mieliśmy przed sobą dobre sześć mil drogi, to jest lekko licząc, dwanaście godzin jazdy litewskim truchtem. Do powiatowego miasteczka parę mil tylko, według ludowego podania, gdyż partykularnych dróg u nas nikt, jako żywo, nie mierzył. Otóż i te niby dwie mile, zaczęte o zmroku, skończyły się o północy zaledwie. W miasteczku, pomimo spóźnionej pory, panował …

wszystkich oknach, na rynku kilk… chłopskich furmanek, których kon… kryte derkami, mokły na deszczu, … gdy ludzie grzali się po karczmach. … wiony trochę, przypomniałem sobie … cu, że na dzień jutrzejszy naznaczon… skrypcyę koni, a zatem w mias… zjazd musiał być liczny. Pojechaliś… kilku karczem z rzędu, wszędzie odm… no nam schronienia z powodu brak… sca. W podobnej okoliczności znaj… się niegdyś święta Rodzina szukała… tułku wśród osłów i owiec, my tego … nie mogliśmy, gdyż deszcz lał coraz… giczniej, a konie ani myślały ruszy… z miejsca. Miałem w miasteczku zn… zajazd, gdzie się zatrzymywałem ki… zy. Siedząc na bryczce, spoglądałem … go oświetlone okna; zajęty był, wid… to zdaleka. Wysiadłem jednak i pos… próbować szczęścia.

Wdrapawszy się jakośna mokre s… otworzyłem drzwi, prowadzące z ali… sto do mieszkania gospodarza. Owia… miła woń cebuli i tego „wszyst… w którem czuć pieprz, imbir, anyż, c… świeże chały, duszące ciepło dw… młodych członków rodziny i dwoj… rych, połączone z żarem rozpalonego… do którego przed chwilą zasunięto … z jadłem na szabas. Nie oddzwony…

Prąd elektryczny przebiegł wśród przycichłych republikanów, opuszczone ręce połączyły się i stworzyły siłę. W roku następnym młody trybun wypowiada w Belleville program demokracyi republikańskiej; wybrany tam, ustępuje Rochefortowi, a sam zasiada w Ciele Prawodawczem, jako przedstawiciel Marsylii. Dotąd rząd miał słabiutką opozycyę trwożliwych prawic i nieco śmielszych liberałów; żądano drobnych ustępstw. Teraz Gambetta podnosi sztandar nieprzejednanej walki, nie ustępstw żąda, ale śmierci bonapartyzmu. To już nie rozdwojenie parlamentarne, to zasadniczy spór o racyę bytu. Gdzie się taka walka rozpoczyna, tam zwycięstwo odwlec się tylko może. Z dniem każdym zastęp wojowników rzeczypospolitej wzrasta. Na czele stoi potężny mówca, biedny adwokat w połatanej todze. Wygłasza w 1870 roku dwie pamiętne mowy — dwa straszne ciosy: w sprawie plebiscytu i w obronie Rocheforta.

Cesarstwo szukało ratunku w reformach — daremnie; rzuciło się do wojny i legło.

Francya ocknęła się bezsilna u nóg wroga: armie zniszczone, resztki wojska zdemoralizowane, honor zdeptany pod Sedanem, rząd tymczasowy złożony z niedołężnych starców. Znowu po nad jęk rozpaczy wznosi się ten sam głos, co rozbudził sumienie publiczne w procesie Baudina. Gambetta wzywa naród do obrony, zagrzewa patryotyzm. pod tchnieniem geniuszu jego stają bataliony nowe.

Zdaje się, że ten człowiek miał wtedy w piersiach duszę Francyi całej. Nieprzyjaciel, zgniótłszy armie, powstrzymany nagle został w zwycięskim pochodzie siłą wyrosłą jak z pod ziemi. To wskrzeszony patryotyzm francuski. Chwilkę sztandar zwycięstwa chwiał się, wyrywany zapałem nowobrańców francuskich z potężnych rąk niemieckiego żołdactwa.

Padł Metz. Teraz już nadzieja zwycięstwa — waryactwem. Ale zapał bohatera rośnie wraz z grozą położenia, przelewa się w piersi narodu. Walczyć, walczyć do końca! Zdrajcy kapitulują, ale nie Rzeczpospolita! Co dzień bitwy, co dzień klęski i co dzień zdobycze moralne. Krew obrońców odradza Francyę z 20-letniego spodlenia. Od śmierci Hoche'a takiego bohatera nie było. Świat cały nie wielu podobnych naliczy; dwa miesiące wystarczyło do rozbicia armii, pięć miesięcy musiał się wróg borykać z nieubranym, nieuzbrojonym rekrutem!

Zawieszenie broni i wybory do Zgromadzenia Narodowego. Alzacya i Lotaryngia, zagrożone niewolą, zrozumiały, komu mają losy swoje poruczyć. Cztery departamenty dają Gambecie mandaty. On przyjmuje Strasburg. Całą potęgą swoją opierał się zawarciu haniebnego pokoju. Nic nie pomogło. Można było porwać naród, ale nie Zgromadzenie, nienawidzące Rzeczypospolitej. Thiers, co miał doskonałą armię do zalania krwią Paryża, nazwał go *fou furieux* (wściekły waryat).

Może waryactwem było żądać dalszego oporu, ale waryactwo takie, to drgnienie życia, to ratunek od martwoty znękania. Naród upada, ale ten głos, co woła: do broni! świadczy, że walka nie skończona. Co straszniejszego być może, jak utrata wiary w siły własne, w możność zwycięstwa? Ten okrzyk odezwie się kiedyś jak echo potężne, jak głos przeznaczenia i da odwet!

Opór do zawarcia pokoju nie przeszkodził; na ile zaś obniżył żądania Bismarka— nie wiadomo dziś. Gambetta opuścił Zgromadzenie i zgnębiony wyjechał do Hiszpanii. Na krwawe sceny Komuny patrzył zdala. Co czuł!... Dla powiększenia nieszczęść brakło tylko potworności wojny domowej.

Dopełniające wybory powołały go w lipcu do Zgromadzenia.

W ojczyźnie bohatera nie czekały dziękczynne okrzyki uznania. Nie miał go nigdy doznać za życia. Monarchiczne Zgromadzenie rzuciło mu w twarz zarzut nadużycia zaufania narodu. Sprawcom klęski można było odrzec tylko słowami pogardy. Zażądał śledztwa, cała jego działalność wyświetloną została. Ale czy są dowody dla tych, co ich widzieć nie chcą!

Teraz trzeba było stoczyć wojnę nową, równie ciężką. W Respublice gospodarzyli monarchiści. Że ocalała, zawdzięczać należy tylko ich rozdziałowi. Gambetta pojął odrazu, że przedewszystkiem trzeba się połączyć. Poświęcić choćby połowę żądań, byle ocalić Rzeczpospolitę. Postęp kroczy powoli, młodzieńczych marzeń jednym rzutem w życie wcielić nie można; na co daremnie zrażać sprzymierzeńców możliwych. Od pierwszej chwili dążność ta jest widoczną. Sam wskazuje narodowi Thiersa jako zbawcę, byle go przywiązać do Respubliki. Popiera w 1875 roku konstytucyę, której braki rozumie najlepiej, byle usunąć groźne zawsze Zgromadzenie. Republikanie odczuli, że on wodzem tu, jak był na polu krwawej walki. Kieruje wyborami i niesie klęskę monarchistom. Teraz już organiczne prace skończone. Z nieporównaną siłą atakuje rząd Mac-Mahona. On walczy, Izba go tylko wspiera. Łamie zamach 16 maja. Przez trzy i pół godziny nie schodzi z trybuny wśród duszącego gorąca, odpiera dwadzieścia napaści, kułaków używa, byle się utrzymać na stanowisku. Nowe wybory — nowa walka. Znosi nie tylko już obelgi, ale razy, policzki. Oskarżony, przy najlżejszem chybieniu, mógł podzielić los komunistów w Nowej Kaledonii. Talent jego, wysiłki, zapał odnoszą skutek. Rzeczpospolita nareszcie ugruntowana. Mac-Mahon ustąpił. Jedną z najpierwszych spraw, jaką podniesiono przy nowym stanie rzeczy, była amnestya. Wspaniały ten początek stanowiący dalszy rozwój programu zjednoczenia, był dziełem Gambetty. „Usuńcie mi z przed oczu — woła! — te nienawistne łachmany wojny domowej!“ I rana zadana przez Komunę zabliźniła się.

Wielkie zwycięstwo odniesione zostało, Rzeczpospolita tryumfowała. A Gambetta? Dla niego tryumfu i odpoczynku nie było— Alzacya i Lotaryngia wciąż w niewoli!

Niebezpieczeństwo minęło i ci, dla których i za których walczył, łączą głos swój z oskarżycielami Zgromadzenia Narodowego, aby brudną potwarzą przyćmić słuszną cześć narodu. Co za wstrętny widok! Rochefort ściga się z bonapartystami, socyaliści z klerykałami.

Nie oszczędzono mu *żadnej*, *żadnej* przykrości. Nie zadowolono się zarzutami złodziejstwa, przeniewierstwa, przekupstwa, zdrady, intrygi, szarpnięto się ohydnie na rodzinne stosunki. Dwa lata temu *Figaro* zbierał składkę na jakąś niby — ciotkę, zaprzedaną klerowi. Teraz znowu za dwa franki pokazywano w arystokratycznym *Café-chantant* dziewczynę, którą nazwano siostrzenicą jego, zmuszoną do zarobkowania w ten sposób z powodu odmowy pomocy przez stryja.

W ostatnich dniach listopada telegraf rozniósł po świecie wiadomość, że Gambetta postrzelił się wypadkowo z rewolweru w prawe ramię. Rana się zagoiła, ale z 16 na 17 grudnia rekonwalescent dostał gorączki i rozwinęło się zapalenie błony jakiejś w żołądku. 1 stycznia francuzi z przerażeniem dowiedzieli się o śmierci eksdyktatora. Jednej chwili trzeba było, aby postać patryoty nabrała posągowej wspaniałości.

---

ani ta woń, ani gwar rozlicznych głosów, gdyż zziębły nie byłem usposobiony do odwrotu.

Gospodyni poznała mię. Zakłopotana długo się namyślała, nim wyrzekła stanowczo:

— Niema miejsca.

Wyobrażam sobie, że przez tę chwilę namysłu nie było tak nędznej dziury, od kurnika aż do strychu, gdzieby nie sięgnęła myślą w celu pomieszczenia mnie jakkolwiek.

— Jak sobie chcesz, moja jejmość — odrzekłem — ale się stąd nie ruszę. Iść nie mam dokąd, a tu u was przynajmniej za kark nie leje.

— Nu, wielmożny pan żartuje — odrzekła uśmiechnięta i zaniepokojona. Co ja zrobię, kiedy niema miejsca? Po dwóch i po trzech panów w jednym pokoju stoi.

Nagle myśl jakaś szczęśliwa błysła w jej przemyślnym mózgu:

— Tu... tu jest pan Czop — rzekła ciszej — wielmożny pan pewno jego zna? On aż trzy pokoje zajął! Możeby on ustąpił, albo jak, żeby panowie z sobą pogadali.

— Który Czop?

— Pan Józef z Jaworu.

— Cóż on tu robi?

— Kto jego wie!.. Za interesami. Jeżeli pan chce, ja mogę się spytać?

— Pytaj się nietylko Czopa, ale wszystkich, którzy tu są; bo ja uprzedzam, że stąd nie wyjdę i jeszcze furmana swego przyprowadzę; on też nie może nocować na deszczu. Żeby to jeszcze konie i bryczkę... Obejrzałem się po izbie, założonej betami, sięgającemi pod sufit.

— Dla koni i furmana miejsce będzie — odrzekła, wysuwając się za drzwi.

Wyszedłem za nią do sieni, dzielącej karczmę na dwie połowy. Stałem, wyczekując, jakiego też dobrodzieja, sąsiada, znajomego los mi ześle, gdy za drzwiami usłyszałem głos męski, trochę ochrypły:

— Ależ bardzo chętnie... w drugim pokoju można się rozlokować.

— No, przecież! Byłem już trochę niespokojny. Pomimo wykazanej energii, gdyby przyszło wybierać między wonną izbą i ciemną, dżdżystą nocą, nie wiem, czemu bym oddał pierwszeństwo.

Gospodyni ukazała się w progu.

— Proszę, niech pan będzie łaskaw, tu, do drugiego pokoju — rzekła, wskazując ręką drzwi.

Gdybym się nie lękał zadziwić ją zbytecznie, ucałowałbym tę rękę łaskawą; tak bardzo czułem potrzebę spoczynku i ciepła.

Owe „aż trzy pokoje,“ obejrzane zblizka, okazały się jedną obszerną stancyą, podzieloną na trzy zagródki: w pierwszej, wąskiej, bez okna, stał tapczan i stół, łojówka w mosiężnym lichtarzu świeciła wstydliwie. Na tapczanie siedział służący w cynamonowej liberyi, ze srebrnymi guzikami. Spostrzegłszy, że idę wprost do drzwi zamkniętych, podniósł się i zasłonił mi ręką drogę:

— Tu pan — rzekł, i wskazał mi drzwi boczne.

W drugiej zagródce znalazłem kanapę i łóżko, znalazłbym może coś jeszcze, ale nic więcej nie szukałem. Karczemnych łóżek wystrzegam się z zasady. kanapy wydają się mniej podejrzane. Zdjąłem przemokły płaszcz, a nim podano samowar i światło, rzuciłem się jak długi na sofę.

Światło było tu zbytecznem, gdyż tylko niskie przepierzenie dzieliło zagródkę od oświetlonego pokoju. Oprócz tego w przepierzeniu znajdowało się okienko w kształcie sernika, którego przeznaczenie do dziś pozostałą dla mnie tajemnicą. Drzwi, zbite z dwóch desek, nie miały klamki; żeby je zamknąć, trzeba byłoby podpierać własnemi plecami, gdyż dokoła nie widziałem ani

Potwarze opadły jak brudne wyziewy do bagniska, z którego powstały. Co za strata! Liczne karykatury zniknęły natychmiast. *Wszystkie* republikańskie gazety z głęboką boleścią i czcią pochyliły głowy.

Wczorajsi nieprzyjaciele oddają hołd wielkości i zasługom, przyznają, że jaśniał nawet wtedy, kiedy świętowano jego upadek (jako ministra).

Karaibski taniec Bismarka nad trupem wroga podzielali tylko monarchiści i Rochefort.

Liczne procesye popłynęły natychmiast do Ville-d'-Avray. Tłumy otoczyły domek. Jakie zdziwienie! Mówiono tyle o milionach, o rozpuście satrapy, o srebrnych wannach, obliczano pensye kucharzów, krociowe dochody. Tymczasem maleńki domek o niskich sufitach był mieszkaniem ogrodnika Balzaca. Ciało bohatera spoczywa na skromnem, studenckiem łóżku. Pokoiki maleńkie, niedobrane meble ubogie prawie. Jedyna ozdoba —portret Wiktora Hugo i wizerunek Mirabeau. Jedyna obfitość — szafy z książkami. Chciał sobie dokupić ogródek—żądano za wiele. Śmierci trzeba było, aby zadać kłam potwarzy. Życie nie żałowało mu goryczy, do trumny poniósł włosy siwe jak starzec sędziwy.

Od pierwszej zaraz chwili i w Paryżu i w całej Francyi widać było żywe poruszenie. Ze wszech stron płyną adresy, listy, telegramy. Niema prawie zakątka kraju, któryby nie pośpieszył objawić współczucia w narodowej żałobie. Szczególniej żałośnie brzmią głosy z Alzacyi i Lotaryngii. Tydzień noworoczny dawał zwykle obfite żniwo teatralnym kasom, w tym roku powszechny deficyt.

Figaro przyniósł wieść, że Brisson, Ferry i Clémenceau wobec śmierci Gambetty postanowili zawrzeć przymierze. Byłoby to zupełne zjednoczenie się wszystkich stronnictw lewicy. Potrzeba łączności wśród republikanów czuć się daje powszechnie. Różne partye zastosowywały się jak armia na manewrach podczas pokoju. Podzielone na oddziały ścierały się z sobą. Był wódz, były kadry, można było się bezkarnie bawić. Teraz się postać rzeczy zmieniła. Jedynym człowiekiem, który mógłby zastąpić w cząstce choć pewnej Gambettę, jest Clémenceau. Na niego się też wiele oczu zwróciło. Gdyby się pogłoska *Figara* sprawdziła, byłby to dowód, że przywódca skrajnej lewicy ma zmysł polityczny i umiał we właściwej chwili zejść ze stanowiska ciasnej wyłączności, n[illegible] stety jednak *Justice* (organ Clemenceau'a) zaprzeczyła temu.

Ciało przewieziono do gmachu Izby deputowanych, masy ludu nieustannie tłoczą się do wnętrza, krążą już wśród tłumów historye jego życia, oświetlone fantastycznymi promieniami nadzwyczajności. Pomimo wakacyi parlamentarnych, rząd przeznaczył 205,000 franków na pogrzeb. Od bardzo dawnego czasu odłamy lewicy Izby po raz pierwszy zebrały się w komplecie. Jednozgodność zamąciły w części tylko niektóre formalne zastrzeżenia się *Extrême Gauche*. Zdaje się jednak, że zlanie się trzech innych grup nastąpi. Byłaby to pierwsza przysługa, jaką Gambetta odda Francyi już po śmierci; w każdym razie ostatnią nie będzie. Wspomnienie jego gorącej miłości dla kraju, jego poświęceń, jego zapału w walce z najezdcą przejdzie z pokolenia na pokolenie i w skarbcu bogactw narodowych stanowić będzie niczem nieprzyćmiony klejnot.

Wracam z pogrzebu. Chciałbym choć w części dać pojęcie o tej wspaniałej manifestacyi, ale niepodobna.

Czemu on tego nie mógł widzieć! Bardziej uczcić Francya nie mogła swego bohatera.

Ze wszech stron nadesłano przeszło pięć tysięcy wianków. Kondukt pogrzebowy składał się z miliona co najmniej ludzi. Gmach Izby deputowanych przystrojony wspaniale w czarne zasłony, obrzucone srebrnemi łzami. Na karawanie żałobna krepa, srebrne oszycia, trójkolorowe sztandary i palmowe liście łączą się w prawdziwie artystyczne dzieło. Wśród tego maleńki jeden wianek z czerwonych nieśmiertelników, to dar wioski alzackiej. Wszyscy, co tylko mogli, z zabranych prowincyi przyjechali do Paryża hołd oddać zmarłemu obrońcy. Całe wozy wianków poprzedzają trumnę, a na wiankach widnieją napisy miast Alzacyi i Lotaryngii. Niebrak ani jednego miasteczka Francyi, ani jednego prawie stowarzyszenia. $3\frac{1}{2}$ godziny potrzeba była, aby cała procesya przeciągnęła przez jakiś punkt. Jest nieco i cudzoziemskich deputacyi, grecy szczególniej licznie się stawili. Plac Zgody zalany ludem, nie widać dachów, wszystkie okna, balkony zajęte. Drzewa, latarnie łamią się. Posągi miast zniknęły pod żywą zasłoną. Jeden tylko posąg wolny — to Strasburg. Czarna krepa okrywa całą postać, na piersiach trójkolorowy sztandar. Na $1\frac{1}{2}$ milowej przestrzeni ludu niezliczo-[illegible] gzemsu, komina. Czasem tylko dolne piętra świecą demonstracyjną pustką. Cywilny pogrzeb nie podoba się wszystkim. Nawet mieszkaniec Paryża pojąć nie może, skąd się tyle ludu wzięło, chyba cała Francya na pogrzebie. Wśród widzów nastrój poważny, uroczysty. Lud stoi murem, policyi prawie niema, co sto kroków ledwie, a nikt się nie wyrywa ku konduktowi, nikt nie mąci porządku.

Ale co może opis! Nie widząc, niepodobna pojąć wielkości tej patryotycznej manifestacyi. Mówią, że Paryż nic podobnego nie pamięta. Pogrzeb Thiersa, zrobiony na złość Mac-Mahonowi, był setną cząstką tego zaledwie.

Do Gambetty zastosować można z całą ścisłością słowa poety: po raz pierwszy wielkie serce nie zadrżało na głos smutku ojczyzny! Czemu on nie mógł widzieć tego! Byłby nagrodzony za wszystkie ciernie życia. Cześć mu!

K. T.

STRONNICTWA W RADZIE PAŃSTWA
i polityka Koła polskiego.

II.

Gdy Wiedeń przysłał Galicyi drogi frak ministeryalny w prezencie, zatarła ona ręce z wielkiej radości. Aż dwóch ministrów rodaków — co za szczęście! Wkrótce jednak smutnie pochyliła na pierś głowę. Zdawało się, że z chwilą nominacyi p. Dunajewskiego luźniejsze się nieco staną ściskające oddawna kraj kleszcze podatkowe; tymczasem minister rodak nie tylko nie osłabił ich siły, ale, przeciwnie, dodał niezwyklej. Był to uścisk iście serdeczny — rodaka.

Jakie jest obecnie położenie Galicyi, wie o tem każdy. Ruina — a nad nią szyderczo świeci frazes: „rząd sprzyja krajowi!" Zauważyć przytem należy, iż, jak utrzymują głosy najpoważniejsze — nawet istniejące niegdyś t. z. *Bürgerministerium*, z wrogich centralistów złożone, na większą zdobywało się względem Galicyi życzliwość a raczej — sprawiedliwość, niż dzisiejsze: Taaffe-Dunajewski!

Ale mniejsza o usposobienie rządu. Galicya, jako kraj konstytucyjny, posiada

---

jednego stołka lub krzesła. Fortykować się nie miałem zamiaru, tem więcej, że w sąsiednim pokoju panowała zupełna cisza, a tylko zapach doskonałego tytoniu oznajmiał, że mam przyzwoite sąsiedztwo.

Od wyjazdu z Homburga nie spotkałem Czopa ani razu; słyszałem tylko, że się ożenił z córką bardzo bogatego sknery, że teść, praktyczny szlachciura, nie chciał oddać posagu w ręce zięcia-pana, że państwo młodzi, przeżywszy miodowe miesiące, rozjechali się każde w swoją stronę. Słyszałem też, że fortuny nadszarpnął porządnie; niektórzy mówili, że bankrut. Rzeczy te, zbyt zwyczajne, nie mogły nikogo dziwić, ani zaciekawiać. Na dziesięciu bogatych jedynaków przynajmniej siedmiu traci fortunę, zebraną przez rodziców, potem się żenią bogato, czasem się oszukują, częściej poprawiają interesa na czas jakiś, ale prawie nigdy nie wychodzą na porządnych ludzi. I gdyby nie opowieści starego Jana o poczciwym Józku, a więcej jeszcze, gdyby nie obraz pięknego młodziana, który mi na długo pozostał w pamięci, możebym nigdy nie wspomniał o jego historyi.

Leżąc na sofie, widziałem przez uchylone drzwi dwie świecie, palące się na stole, jesionową kanapę, pokrytą ceratą, i parę nog cienkich, długich, zakończonych skarpetkami; pantofle stały pod stołem, futro, rzucone na krzesło, zsunęło się w połowie na ziemię, u poręczy drugiego krzesła wisiała podróżna torebka; kłęby niebieskiego dymu snuły się nad świecami. Niedługo trwała cisza. Czop wstał z kanapy, nałożył pantofle i zasunąwszy ręce w kieszeni, zaczął chodzić wielkiemi krokami po pokoju. Poznałem go od razu po wspaniałej postawie, chociaż szykowna przed laty figura zgarbiła się nieco; a gdy nachylił się do świecy dla zapalenia papierosa, dostrzegłem rysy zmienione, policzki zwiędłe, głowę ogołoconą w części z pysznych, jasno-popielatych włosów. Pomimo to resztki dawnych wdzięków czyniły go dziś jeszcze dość okazałym weteranem. Zamiast dziesięciu, przybyło mu trzydzieści lat przynajmniej. Lecz do zfabrykowania motryki dopomógł zapewne zaniedbany ubiór podróżny, niepodstrzyżony zarost i zmęczenie po drodze.

Nie słyszałem już, kiedy chodzić przestał, a może nie kładł się wcale; gdyż zaledwo otworzyłem oczy nazajutrz, ujrzałem go chodzącego od pieca do okna, jak raz w tym samym kierunku, gdzie go zostawiłem wczoraj zasypiając. W granatowym kubraczku, obszytym czarnym barankiem, pochylony, wpatrzony w podłogę, dziś wydał mi się starszym i bardziej zmizerowanym. Chodził, jak maszyna, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie. Podłoga usłana była kawałkami papierosów, przez spotniałe okna zaglądał chmurny ranek jesienny, podobniejszy raczej do ciemniejącego zmroku, na stole samowar buchał parą, obok niego napoczęta szklanka herbaty i opłatana buteleczka ze srebrnym kołpakiem. Czop, chodząc, zbliżał się do stołu, przełykał herbatę i znowu spacerował dalej. W przedpokoju kilka głosów rozmawiało zcicha. Zatrzymał się, nadsłuchiwał, w końcu zastukał lekko w drzwi.

— Kto tam — spytał lokaja, wskazując głową na drzwi.

Lokaj milczał.

— A to do pana — odrzekł po chwili — mówiłem, że jeszcze rano.

— Kto tam jest — powtórzył zniecierpliwiony.

— Eh, różni... Malecki, Dobrowolski...

Czop odszedł nachmurzony, gryzł usta, wrócił się od połowy pokoju.

— Zawołaj Maleckiego — rzekł po namyśle.

Gdy lokaj wyszedł, usiadł na krześle bokiem do drzwi, przez które przyglądałem mu się bez przerwy; nogi wyciągnął, ręce zasunął w kieszenie a brwi chmurzyły się coraz więcej.

przecie głos w swych sprawach, ma posłów, których obowiązkiem jest walczyć o jej prawa i starać się jak najusilniej o jej dobro. „Kołu polskiemu“ w Wiedniu nie zbywa zapewne na dodatnich chęciach, lecz cóż z tego, kiedy owocu chęci tych nie widać. Podczas np. ostatniej kadencyi parlamentarnej czesi stanowczo wygrali walkę w sprawie języka swego; podobny rezultat odniosło „stronnictwo prawa“ dla liczebnie słabych słoweńców — klub „środkowy“ ma wszelką nadzieję wprowadzenia żywiołu klerykalnego do szkół — wszyscy coś zdobyli lub wszystkim się coś uśmiecha — prócz Koła polskiemu. Mylę się: posłowie galicyjscy przywieźli wcale ładny dla kraju podarek — nowe podwyższenie podatku gruntowego, wyższy podatek domowy i opodatkowanie przemysłu naftowego! Wprawdzie w podarku mieściła się kolej transwersalna, ale zdobycz ta, gdyby nie pamięć rządu na względy strategiczne, pewnie by nie istniała.

Wobec takiej bierności Koła polskiego staje na myśli pytanie: czy nie jest ono czasem wątłe pod względem ilości swych członków, organizacyi i karności?

Nie — odpowiada autor wypisanej w nagłówku broszury — „Koło polskie liczbą swych członków (około 60), ścisłą organizacyą i wzorową karnością powinno być stronnictwem najsilniejszem — czynnikiem, z którym rząd, opierający się na połączonych grupach prawicy, najściślejby się rachować powinien.“ Gdy zaś dzieje się przeciwnie — jakaż tego przyczyna? Autor widzi ją w tem, że „Koło polskie działa pod wpływem pewnego zwątpienia o siłach własnych, pod wpływem jakiejś nieokreślonej obawy, która je wstrzymuje od więcej stanowczego występowania, od śmielszej akcyi parlamentarnej.“ „Nie jest to — powiada — duch reakcyi, duch wstecznictwa; jest to po prostu duch zbyt przezornego kwietyzmu, który w każdej zmianie, w każdym więcej samoistnym kroku przeraża się jakiemś złem, jakiemś „gorszem“ nieokreślonem — i zarzekając się żywszego ruchu, stoi na miejscu jak posąg z napisem: *Ruhe ist die erste Bürgerpflicht*!

Autor nie dziwi się temu. „Wszakże ta szlachta galicyjska przez całe stulecie była istnym kopciuszkiem rządu, była bezbronnym materyałem dla najdziwniejszej akrobatyki biurokratycznej, na którą tylko *beamterya* austryacka zdobyć się mogła.“ Równocześnie zapisuje jednak autor, że do wytworzenia wspomnianego w Kole polskiem kwietyzmu dzielnie przyłożyli swą nadobną rączkę — stańczycy. Paniczów tych wyprowadza od dawnych oligarchów polskich i dość obszernie kreśli dzieje naszego możnowładztwa, owej zmory, która od śmierci Batorego stanowczo podniósłszy głowę, nieustannie dusiła swą biedną ofiarę. „Po r. 1831 wszechwładna oligarchia polska skurczyła się — mówi autor — do skromnych rozmiarów oligarchii krakowskiej w pseudo-państewku wolnego i niepodległego (?!) miasta Krakowa — a obywatele grodu Piastów z polaków przedzierzgnęli się na specyficznych *krakowian*.“ „Pod panowaniem bowiem możnych rodzin krakowskich, jedynej pozostałości dawnej oligarchii polskiej, wytworzyć się musiał na podstawie małych ambicyjek ciasny partykularyzm, z magnacka szlachecki, patryarchalnie zorganizowany, nierozrządzający wprawdzie, jak dawniej, buławą hetmańską lub rozległemi starostwami, lecz skromnym biretem profesorskim, posadką *verwaltungsrata* lub dyrektora banku; a gdy w r. 1846 Kraków Austryi przypadł w udziale, partykularyzm krakowski posunął się o stopień wyżej, z radosną skwapliwością przywdział szaty partykularyzmu galicyjskiego, w dalszym zaś rozwoju tej metampsychozy stanęła do walki z ideą polskości — *polskość austryacka* już w r. 1848 przez możnowładców krakowskich inaugurowana a przez rząd skwapliwie potęgowana.“

Taką genealogię stańczyków znajdujemy w broszurze.

W dalszym ciągu rozwija autor obraz ich korupcyjnej działalności. Jest on, niestety, tak prawdziwy a w prawdzie swej tak smutny, iż lepiej pokryć go milczeniem, zwłaszcza że czyny „pożarnej komendy“ powszechnie są znane. Podziwia autor niepospolitą energię i spryt jej członków, ale „proceder przy wyborze komisyi edukacyjnej tegorocznego sejmu, wykazujący w ostatecznym rezultacie prawdziwie cudowny przyrost sześciu głosów stańczykowskich po nad liczbę wszystkich obecnych posłów — to już nie spryt — powiada, lecz co najmniej niegodny podstęp, wstrętna nielojalność. Stronnictwo zaś, które takich chwyta się środków, długo ostać się nie może: Gmachu nie stawia się z błota. Upadli wszechmocni niegdyś „wiernokonstytucyjni,“ spodziewać się zatem można, że kraj wyda niegdyś sprawiedliwy wyrok i przeciw stańczykom.“

W końcu broszury zaleca autor Kołu polskiemu t. z. politykę „wolnej ręki. Ścisły sojusz z trzema *) klubami prawicy t. j. z czechami, ze stronnictwem prawa“ i klubem środkowym, mimo że łączą galicyan z nimi pewne wspólne interesy (jak: obrona i utrwalenie narodowości z czechami, zasada samorządu pojedynczych krajów ze stronnictwem prawa, a reforma ustawy wyborczej, podniesienie stanu materyalnego włościan i klas pracujących z klubem środkowym) — istnieć nie może, gdyż „zawsze przyjdą na porządek dzienny sprawy, w których zapatrywania nasze staną w sprzeczności.“ Zachowanie swobody ruchu i swobody postępowania uważa autor za politykę „jedynie skuteczną i jedynie możliwą.“

W odpowiedzi na te uwagi jeden z najpoważniejszych dzienników galicyjskich pisze: „Żadną miarą uznać nie możemy, aby konkluzya broszury zupełnie ściśle odpowiadała premisom. Autor zaleca „politykę wolnej ręki“ — „ale bez podchwytów nagłych, ukrytych, niespodzianych — politykę wolnej ręki, lecz lojalną, otwartą i sprawiedliwą, jako jedynie zbawienną.“ Czy to dosyć? Czy to wystarczyć może na usunięcie owego „kwietyzmu,“ który, jak słusznie autor zaznaczył, jest grzechem pierworodnym naszej polityki delegacyjnej? Nam się zdaje, że nie. Bo i w przymierzu zaczepno-odpornem z całą dzisiejszą prawicą i w prowadzeniu polityki wolnej ręki, ów „kwietyzm“ może i nadal wszechmocnie się rozpościerać — a tem, że sobie galicyanie „wolną rękę“ zastrzegą, jeszcze go nie usuną. Można i w sojuszu i bez niego nic nie robić, niczego się nie domagać, niczego nie zdobywać. Dlatego nie dość jest żądać dla delegacyi „swobodniejszego ruchu“ — trzeba ruchowi temu *cel* wskazać, drogę wytknąć, dać hasło i sztandar, dać — *program*. Jeżeli on będzie żywotny, jeżeli prawom i potrzebom kraju będzie odpowiadał, jeżeli stanie w zgodzie z ideą, która — niech co chcą mówią — jeszcze w Galicyi nie zamarła, to kraj za tym sztandarem pójdzie, i z wyborów wyjdą ludzie nowi, którzy koniec położą owemu kwietyzmowi.“

*) Z czwartym (wiernokonstytucyjnem) nic galicyan nie wiąże: „winniśmy tylko odpierać nieustanne napady tych zuchwałych hegemonów germańskich“ — a tworząca się dopiero „partya ludowa“ na dziś w rachubę wchodzić nie może: nie wiadomo jeszcze, co z niej wyniknie.

Wszedł mężczyzna średnich lat, w czarnym surducie, z kołnierzem od koszuli wywiniętym, barczysty, czerstwej twarzy, z płowym wąsem, ukłonił się nisko i bardzo badawczo wpatrzył się w twarz milczącego Czopa.

— Mój panie Ma... Mal...

— Malecki — podchwycił przybyły.

— Mój panie Malecki—powtórzył Czop, nie podnosząc oczu — nachodzisz mnie od samego rana, kiedy powiedziałem przecie raz na zawsze, że jak będę mógł skończyć interes, to napiszę, zawiadomię.

Malecki kręcił czapkę w ręku, mrugał oczyma, jak dziecko, kiedy się do płaczu przybiera.

— Czekałem, jasny panie — odrzekł z dławionym głosem — ale dłużej trudno.

— Mój panie Malewicz – przerwał Czop.

— Malecki — poprawił szlachcic.

— Wszak musisz mieć interesa, wierzyciele tak dobrze jak i ja, wiesz zatem, że są okoliczności, w których najmniejszego nawet długu spłacić niepodobna, dług pański oparty na Malinówce...

— Którą bank na sprzedaż wystawił.

— Ale jeszcze nie sprzedał. Zresztą wszelkie długi oparte są przedewszystkiem na mojem sumieniu, a ja, chociażbym nawet miał zostać bez dachu, krzywdy ludziom nie zrobię.

— Ja to wiem... spokojny jestem... ale tymczasem żyć trzeba.

— Sam sobie winien jesteś panie Malczewski; trzymałeś Malinówkę przez lat sześć w zastawie, ja cię nie wyprawiałem, owszem, chciałem przedłużyć termin.

— Nie mogłem gospodarzyć na wielkim majątku..., źle szło... lata były ciężkie.

— Więc jeżeli panu przy małych wydatkach ciężkie lata dały się we znaki, cóż mówić o mnie — przerwał Czop z gorzkim uśmiechem.

Milczeli przez chwilę. Czop gryzł usta, poruszał nozdrzami, spoglądał na Maleckiego ukradkiem, a ile razy spotkał się z jego wzrokiem, spuszczał oczy spiesznie.

— Przynajmniej żeby pan był łaskaw naznaczyć termin — przemówił z rezygnacyą, patrząc na niego. Mimowolnie przyszły mi na myśl wczorajsze moje szkapy.

— Tego zrobić nie mogę... gdyż sam nie wiem...

— Więc tak czekać bez terminu, bez procentu — zawołał zaczerwieniony, ze łzami w oczach — tak być nie może. Ja sam żyję długami z rodziną.

Czop zerwał się, odwrócony do niego plecami i schwycił szklankę z herbatą. Nie pił, widziałem. jak ściskał ją w drżącej ręce.

— Więc czego chcesz—zapytał zwracając się—zapłacić nie mogę, masz oblig prawny... możesz...

Malecki przerwał mu skinieniem ręki:

— Pan wie, że ja tego nie zrobię. Wszystko, co mam, zawdzięczam pańskiemu ojcu. Oddasz — dobrze, nie — Bóg z tobą, a ja syna mego dobrodzieja po sądach ciągać nie będę.

Zawrócił się i poszedł ku drzwiom.

— Czekaj — zawołał Czop, i, jakby zawstydzony własną słabością, odwrócił się od niego, uderzył palcami po stole, wpatrzony w okno. Po chwili wyjął z bocznej kieszeni spory pugilares.

— Masz, więcej dać nie mogę — rzekł ciszej nieco, wyciągając do niego rękę i... na miłość boską, zostaw mnie w spokoju! Ja pamiętam... zanadto może pamiętam — mówił zirytowany do najwyższego stopnia.

— Nikogo nie wpuszczać — zawołał na lokaja, gdy Malecki wyszedł. Jeżeli Konopko nie przyjdzie za kwadrans, to pójdziesz jeszcze raz po niego.

(D. n.)

Ostoja.

z tego — konkluduje wzmiankowa-
ennik — „wolna ręka“ nie pomoże.“

J. Z.

ORMA SZKOLNA W SZWAJCARYI.

II.

bec takiego stanu rzeczy minister wewnętrznych Schenk wypracował am przeprowadzenia 27 artykulu we tkich kantonach. Sądząc z wrzawy, wywołał, zdawałoby się, iż idzie tu rowadzenie nowego prawa szkolnego; zasem chodzi tu tylko o uregulowanie pnych panktow:

Dostateczne wykształcenie elemen- wymaga: uzdolnionych nauczycieli, lonego czasu trwania zajęć, regular- uczęszczania do szkoły, określenia mum uczniów w klasie, dostatecznej środków naukowych i odpowiedniego ru nauk fachowych.

Dla obowiązkowego nauczania potrze- by zarząd czuwał nad regularnem zczaniem do szkoły; aby na początku ego roku przedstawioną była liczba i w wieku, jaki szkole poświęcony winien, w każdym okręgu i ażeby za szkolna wystąpiła na zasadzie pra- rzeciwko tym rodzicom, którzy usta- się sprzeciwiają. Następne przeszkody: ne odległości, brak odzieży i środków mania dzieci ubogich rodziców w po- zkolnej —usunięto być winny.

kół początkowych w Szwajcaryi jest nie około 7,000, w nich wykłada około nauczycieli i około 1.750 nauczycie- Zakładów nauczycielskich liczy Szwaj- a 20 publicznych i 7 prywatnych wy- iowych. Czas obowiązkowy uczęszcza- o szkoły w rozmaitych kantonach ro- cie był dotąd określany: od 5 do 9 lat yżej; obecnie zaprowadzony być ma nie czas dziewięcioletni jako minimum. 2-stym roku życia udzielonem być jednak zwolnienie, jeżeli rodzice lub kunowie tego żądają i żądania swe ymi usprawiedliwią powodami. Ilość dni w roku szkolnym także była do- niestałą: 30—49; obecnie ustanawia się dni 40. W szkołach czasowych, gdzie nki miejscowe nie pozwalają dzieciom łoroczne uczęszczanie, czas nauki nie inien być krótszym nad 4 miesiące. godzin ma wynosić 25—38 tygodnio- Program szkół elementarnych następ- bejmuje przedmioty: język miejscowy, unek pamięciowy, dziesiętny i geome- zny, geografię i początki kosmografii, oryę i zasady konstytucyi, ogólne za- hygieny, nauk przyrodniczych, rolni- , śpiew i gimnastykę.

Elementarne szkoły są bezpłatne. tony pilnować winny, aby materyały ienne i rysunkowe wydawane były cym się bezpłatnie.

Wyłączne kierownictwo państwowe, ego celem jest szkoła czysto cywilna rzeciwstawieniu do kościelnej, bądź ęści, bądź w całości.

kantonach katolickich, jak: Schwyz, Unterwalden, Lucerna, szkoły ele- tarne znajdują się przeważnie w rękach owieństwa.

Nienaruszalność wolności wiary i su- nia wymaga usunięcia tego wszystkie- o może szkole nadawać charakter wy- iowy: przymuszanie dzieci wbrew woli rodziców do nauki religii, używanie żek, pism, obrazów, ceremonij do od- lnych wyznań należących; opowiada- objaśnienia i wykłady krzywdzące in- wyznania itd.

onferencya pedagogiczna z d. 26 i 27 wca 1882 przyjęła program powyższy pełności.

la wprowadzenia go w wykonanie minister Schenk następny Radzie Związkowej przedstawił wniosek:

1. Departament spraw wewnętrznych poleca Radzie Związkowej przedstawić niezwłocznie uchwały w sprawie szkolnej kantonów, konieczne dla całkowitego przeprowadzenia 27 artykułu konstytucyi związkowej i dla ogłoszenia odpowiednich do tego przedmiotu przepisów prawnych.

2. Dla wykonania tego zadania ustanawia się przy departamencie posadę sekretarza (sekretarz wychowania publicznego z pensyą 6,000 franków), którego obowiązki określi osobna instrukcya Rady Związkowej.

3. Poleca się Radzie Związkowej podać do wiadomości uchwałę powyższą i oznaczyć czas jej prawomocności.

Rada Związkowa zatwierdziła ten wniosek w d. 14 czerwca 1882. Jak zwykle, tak i w tym razie znalazła się natychmiast opozycya. Ilość niezadowolonych wzrosła dzięki agitacyi duchowieństwa i arystokracyi do 180.000. Arystokracya, dzieląc władzę z duchowieństwem, zawsze powstrzymywała lud w jego rozwoju umysłowym, darząc go zaledwie okruszynami nauki i to przeważnie katechizmowej. I dziś dążności jej są też same, o czem świadczą nazwiska członków szwajcarskiego związku arystokratycznego, t. zw. konfederacyjnego, figurujące na *referendum* *) pośród nazwisk przedstawicieli duchowieństwa. Przepaść, dzieląca klasę posiadających od wydziedziczonych, zwiększa się ciągle, nienawiść pokrzywdzonych wzrasta, cierpliwość ich wyczerpuje się i chęć zemsty przeciwko czynnikom, które stworzyły położenie obecne, zdaje się być w przededniu wybuchu. Zadaniem państwa jest zapobiedz temu i choć w części zwrócić należne pokrzywdzonym prawa, t. j. dać możność kształcenia się wszystkim w kierunku przez program Schenka wskazanym.

Protestanckie duchowieństwo w znacznej części popierało ten program, gdy tymczasem pośród katolickiego z latarnią szukać było potrzeba takich, którzy przemawiali za jego wprowadzeniem.

Agitacya znalazła grunt odpowiedni, puste frazesy, jak: „religia w niebezpieczeństwie,“ „biurokratyzm,“ „centralizacya“ itd. poskutkowały. W ten sposób pozyskana większość odrzuciła w d. 28 listopada z. r. program Schenka ilością 316,929 przeciw 171,959 i 18 kantonów przeciw 4.

Zasługuje tu na wspomnienie charakterystyczna ilustracya, rozlepiona przez partyę „wolnomyślnych“ w przeddzień powszechnego głosowania na ulicach Berna. Przedstawiała ona Pestalozziego, ku któremu garną się dzieci z książkami, wyswobodzone przez Helwecyę. mieczem uzbrojoną, ze szponów kruczych; rozproszone kruki uciekają w stronę widniejących zdala stosów inkwizycyjnych. Doba dzisiejsza nie o wiele oddaliła się od epoki Pestalozziego.

Zarzuty, wymierzone ze strony opozycyi przeciw uchwale z d. 14 czerwca z. r. zasadzają się na tem, iż Rada Związkowa chce ograniczyć autonomię kantonów i zcentralizować je; powtóre, wprowadzić nowy zastęp biurokracyi, który stanie się koniecznym przy utworzeniu posady sekretarza, co znacznie zwiększy koszta.

Za powód do pierwszego zarzutu posłużyło rozmaite pojmowanie niedokładnego wyrażenia: „Verfügung,“ użytego w ostatnim punkcie 27 artykułu. Wyraz ten oznacza *uchwałę, postanowienie* (*Schlussnahme*), w dalszem jednak znaczeniu wyraża także wydanie prawa (*Erlassung eines Gesetzes* lub *gesetzgeberische Erlasse*). Jeżeli wyraz ów w tem ostatniem ma być rozumiany znaczeniu, w takim razie wymagania Związku co do zastosowania jednego i tegoż samego prawa szkolnego do wszystkich kantonów zupełnie są słuszne.

Istnieją wyjątkowe miejscowości, gdzie wprowadzenie związkowej ustawy szkolnej nie daje się zastosować w zupełności. jak np. kanton Uri, gdzie droga do szkoły w zimowej porze bardzo jest trudną i niebezpieczną. Stąd w górach i w wysoko położonych, zamkniętych dolinach szkoła nie przynosi tyle korzyści, co w miejscowościach handlowych i przemysłowych.

Drugi zarzut przeciw urządzeniu posady sekretarza opierają przeciwnicy na tem. iż urząd taki sprzeciwia się autonomii kantonów i zwiększa niepotrzebną biurokracyę. I ten zarzut nieuzasadniony, gdyż ażeby zbadać dokładnie, o ile stan obecny wszystkich szkół szwajcarskich odpowiada wymaganiom 27 artykułu, potrzeba człowieka zdolnego, któryby się całkowicie sprawie tej poświęcił; ażeby zaś znaleść takiego człowieka, potrzeba go odpowiednio wynagrodzić. Uczyniły to również Stany Zjednoczone, chociaż ich konstytucya sprzeciwia się centralizacyi szkolnictwa.

Kwestya ta, która w całej Szwajcaryi stanęła na porządku dziennym, rozpatrywaną była przed laty jedenastu w kantonie Neufchâtel. Projekt prawa o szkołach elementarnych takież same napotkał trudności, jak dziś program przeprowadzenia 27 artykułu. Projekt ten jednak uzyskał sankcyę narodu, a następnie w odmiennej nieco formie przyjęty został w Belgii, jako prawo dla zakładów elementarnych.

W pierwotnej formie (neufchatelskiej) brzmi ono:

„Art. 18. Nauka religii oddzieloną jest od pozostałych części nauczania (art. 79 konstytucyi kantonalnej).“

„Nauczanie to jest dowolnem i udzielanem stosownie do wyboru i woli rodziny.“

Art. 19. Komisye wychowawcze oznaczyć winny pewne godziny dla nauki religii; czuwają one szczególnie nad tem, ażeby nauka ta wykładaną być mogła w określonych porach dnia, bądź przed rozpoczęciem, bądź po ukończeniu innych wykładów.“

„Art. 20. Lokale szkolne mogą służyć dla wykładów religii wszelkich wyznań; w razie nieporozumień co do godzin wykładu, komisye rozstrzygają na korzyść większości dzieci mających naukę pobierać, lub też kilka mniejszości zupełnie z prawa użytkowania lokalów mogą wykluczyć.“

Art. 21. Komisye wychowawcze nie mogą ani ze względu na wybór lub wynagrodzenie nauką religii zajmujących się osób, ani ze względu na jej charakter i program, żadnych wydawać rozporządzeń.“

Oto prawo, które w r. 1872 nazywano prawem niedowiarstwa i ateizmu.

Odpowiednia ustawa belgijska w następnym streszcza się artykule:

Art. 4. Piecza o nauczanie religii pozostawioną jest rodzinom i duchowieństwu rozmaitych wyznań; lokal szkolny pozostawia się do rozporządzenia wyznań, mogących wykładać w nim religię dzieciom swych członków, do szkoły uczęszczających, bądź przed, bądź po godzinach szkolnych.“

Francuskie prawo o obowiązkowem nauczaniu szkolnem z d. 28 marca 1882 wyraża się w sposób nieco odmienny:

„Art. 2. Początkowe szkoły publiczne raz na tydzień, prócz niedzieli, zawieszają wykłady, w celu dania możności rodzicom kształcenia swych dzieci w religii, jeżeli sobie tego życzą, po za obrębem szkoły. W szkołach prywatnych kształcenie religii jest dozwolonem.“

Art. 8. Szkoła jest obowiązkową dla wszystkich od 6—13 roku życia. Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem wykładów w zakładach publicznych, nazwiska dzieci

---

*) *Referendum* nazywa się w Szwajcaryi protest obywateli przeciwko uchwałom Związku lub kantonów, opatrzony dostateczną ilością podpisów (minimum 20,000).

zapisane i zarządowi szkoły podane być winny.“

Do szkół publicznych w Paryżu uczęszcza około 80.000 dzieci, do prywatnych około 50,000. Stosunek ten zmieni się wkrótce zapewne na korzyść publicznych, państwo bowiem chce ograniczyć prywatne do minimum. Budżet roczny na szkoły prywatne w Paryżu wynosi 15 milionów franków.

Amerykanie, potomkowie purytanów szkockich, ludzie z niewzruszonemi przekonaniami religijnemi, oddawna już naukę religii poruczyli rodzinom i duchowieństwu odpowiedniego wyznania. Dziwna rzecz, iż katolicy najzapalczywszymi byli obrońcami szkoły cywilnej.

Oto w krótkich zarysach kwestya szkolna, która ostatnimi czasy tak żywe obudziła zajęcie w społeczeństwie szwajcarskiem. Odrzucenie programu Schenka nie ma jednak tak wielkiego znaczenia, jak niektórzy mogą sądzić. Każda nowa idea, choćby jej urzeczywistnienie największe przedstawiało korzyści, silną musi staczać walkę, zanim uzyska racyę bytu. Reforma szkolna wielu liczy dziś jeszcze przeciwników, częścią niepojmujących jej użyteczności, częścią widzących w niej niebezpieczeństwo, grożące ich przywilejom kastowym, zyskuje jednak i energicznych zwolenników, usiłujących ją przeprowadzić. Urzeczywistnienie jej odroczonem zostało tylko i to na czas niedługi. Wkrótce stanie ona ponownie na porządku dziennym, a wtedy, spodziewać się należy, uzyska sankcyę większości. Zasada, wyrażona w 27 artykule, zostanie przeprowadzoną wtedy we wszystkich kantonach Związku. Być może, iż kwestya reformy szkolnej da się rozstrzygnąć na drodze pośredniej, mianowicie przez rewizyę konstytucyj kantonalnych, która według uchwały Związku wkrótce ma być dokonaną, jeżeli naród i tym razem nie zechce postawić swojego *veto*.

Dr. A. Złotnicki.

Kronika rosyjska.

Gambetta względem Petersburga i Petersburg względem Gambetty. — Uwaga mojego kolegi zbliżona do napoleońskiej. — Upadek kursów. — Opieszałość tegorocznych sesyj samorządu ziemskiego. — Przesilenie ekonomiczne i Patti.

Czytelnik, czerpiący wiadomości o Gambecie z gazet zagranicznych i nieznajdujący w nich ani słowa o jego stosunku do Rosyi, zapyta może: jak objawiła się żałoba nad Newą — zwłaszcza jeżeli są mu znane głosy gazet rosyjskich, które robiły dużo wrzawy podczas pobytu w Petersgu pani Adam, zaznaczały przygnębienie na twarzy Coquelina, a pewno nie omieszkają powiesić na ścianach redakcyjnych portretu zmarłego eks-dyktatora Francyi obok wizerunku generała Skobelewa. Otóż prócz interesu salonowego i teatralnego śmierć ta nie odbija się wyraźniej na publiczności rosyjskiej. Było to łatwem do przewidzenia. Że część inteligencyi, a mianowicie jej odłam anti-niemiecki miał powody sympatyi dla Leona Michajłowicza Gambetty — nic dziwnego; ale mniej naturalne były marzenia tych, którzy wierzyli w jego panslawizm, i nie w duchu demonstracyi przeciwgermańskiej, jak młodoczesi, ale ufając w sympatye i wspólnictwo jego z Rosyą, przywiązywali wagę do złudnych komplementów, prawionych przez panią Adam w salonach petersburskich i moskiewskich.

Nie mogę się też oprzeć chęci przytoczenia zdania jednego z moich kolegów, dalekich od biegu polityki, który na wieść o śmierci Gambetty ze spokojem rosyjskiego wyrobnika zauważył: we Francyi droga do zasług otwarta każdemu — więc strata obecna nie jest straszną i niepowetowaną. Rozumiecie, ile w tem zdaniu kolorytu miejscowego. Najnaturalniejszym, szczerym i prawdziwym odblaskiem zasług i sławy Gambetty jest na bruku tutejszym zamiar (urzeczywistniony *Red.*) ciała adwokatów przysięgłych posłania wieńca na grób zmarłego prawnika, z którego imieniem połączone są ideały postępowe, anti-klerykalne i anti-niemieckie.

Położenie wewnętrzne państwa cechuje w chwili obecnej: naprzód niski kurs rubla, powtóre opieszałość towarzysząca działalności posiedzeń dorocznych ziemstw gubernialnych, obradujących, jak zwykle, w tej porze. Spadek waluty datuje się od półtora miesiąca : stał się chronicznym. Dla przemysłu krajowego, który lubi niskie kursa, wspólnie z wysokiemi cłami ochronnemi, chwila obecna przedstawia pole obfitego żniwa. Natomiast dla sfer bankierskich i pewnej części kupców jest ona niepomyślną. Spotykamy zdanie, że niskie ceny zboża są w związku z obniżką kursu; ale fakt ten przypisać należy większym zapasom z powodu urodzaju, a nie zastojowi w handlu wywozowym, który potrafił nieraz przetrwać najgorsze przesilenia a z magazynów zboża nie wypuścił i ludności ubogiej nędzy nie zmniejszył. To też dobrobyt, który daje się spostrzedz obok taniości produktów w Petersburgu, nie zakreśla kół dalekich i fakta, których dostarczają posiedzenia ziemstw, wskazują lepiej niż rozumowania, co sądzić o dobrobycie mas.

Oto co czytamy w ostatnim przed feryami świątecznemi numerze *Gazety Petersburskiej*. „Na posiedzenia zgromadzeń ziemskich delegaci uczęszczają niechętnie. Prezesi zaledwie zdołają dobrać tylu członków, ile potrzeba dla otwarcia sesyi. Zamykają je rychło, nie wysłuchawszy wszystkich referatów i nie rozstrzygnąwszy nawet spraw bieżących. Przedmiotem obrad są po większej części groźne widma i jeszcze groźniejsza rzeczywistość. Powiaty i gubernie nie mają czem wyżywić się do przyszłych żniw, potrzebują zaliczek ogromnych na zapomogi, a tu pieniędzy niema; nieuniknioną staje się ucieczka do pożyczki rządowej, gdy długi stare są jeszcze niezapłacone. Ale i rządowe środki nie są kopalnią niewyczerpaną. Podatek ziemski wpływa nieakuratnie i tworzy ogromne zaległości, których nigdy niktnie spodziewa się odebrać. Cóż dziwnego, że wobec tego panowie delegaci czują przygnębienie, zwłaszcza ci, dla których potrzeby ludu nie są czczem słowem.“

Nie podzielamy argumentacyi dziennika, o ile chce sobie powyżej wytłomaczyć przyczyny opieszałości. Obraz tu skreślony wymaga energii, której właśnie brak przedstawicielom samorządu. Nie upadek dobrobytu jest powodem absenteizmu i opieszałości, ale co innego — o czem daremnie bym pisał. Z pytań ogólniejszej natury, których tak dużo i z taką śmiałością poruszyły posiedzenia ziemiańskie w końcu 1880 r., tegoroczne mają bardzo mało i całą prawie uwagę pochłaniają przewidywania, co się stanie ze szkołami elementarnemi, które — według wieści — mają przybrać postać parafialno-cerkiewnych. Mówiąc o sprawie oświaty dodam, że na porządku dziennym jest również projekt zmian w ustawie uniwersytetu z r. 1863.

Wracając do posiedzeń samorządu ziemskiego, nie mogę pominąć, że działalność ich podobna jest do operacyi naprawiania starego zegara, który dziadek, jak maluje ilustracya angielska, otrzepuje z pyłu i naprawia przed samym nowym rokiem, żeby rychło znów o zegarze zapomnieć.

Rozprawy budzą czytelników gazet z uśpienia, ale jak tylko posiedzenia i rozprawy minęły, wszystko zamiera i znów poczyna się paplanina zamiast debatów, oraz gospodarka tandeciarska, pozująca na rozwój dobrobytu. Trafne i dowcipne są poniższe słowa „mieszkańca wsi,“ który zastanawiając się nad przyczynami obecnych „ciężkich czasów.“ pisze: „Zajrzyj do jakiejkolwiek gazety. Na pierwszej stronie znajdziesz wielkiemi literami: „dzisiaj śpiewa Patti!“ a na drugiej, drobnemi: „kursa znacznie spadły.“ Pierwsze słowo, jakie ci się wymknie — „a! przesilenie“ i... pojedziesz na operę. A tu Patti dwadzieścia już lat śpiewa całem gardłem, w całym naszym kraju, w każdym zakątku — od instytucyj społecznych do każdej rodziny, która bez słynnej śpiewaczki już obejść się nie może...“

Samo.

POJĘCIA MONISTÓW I POZYTYWISTÓW O ŻYCIU.

II.

Niema filozofa, któryby nie próbował określić *życia*. Wszyscy dotąd nadawali temu słowu specyalne znaczenie, przyznając cechy życiowe pewnej tylko oznaczonej ilości skupień, które nazwano organicznemi. Jedni, spirytualiści, nie mogąc przypisać duszy kierownictwa czynnościami organicznemi, ponieważ nie posiada ona świadomości o nich, wymyślili czynnik pośredni, zwany *pierwiastkiem życiowym*. Czy jest on niemateryalny, czy teżmateryalny? Tego nie wiedzą; za dowód posłużyć może następujące określenie Lordata: „Życie jest czasowem połączeniem zmysłu wewnętrznego (*du sens intime*) z agregatem materyalnym — połączeniem spojonem przez pewne ἔνορμον, lub przyczynę ruchu, której istota jest nieznana.“

Przyznaję, że nic z tego nie rozumiem; prawdopodobnie jednak i Lordat znajdował się w tem samem, co i ja, położeniu. Jeżeli pierwiastek życia jest niemateryalny, t. j. duchowy, jest on podzielny, bo np. polip wód słodkich może być rozcięty na dwoje, przyczem życie żadnej z polów na tem nie cierpi. Otóż duch, dzielący się na kawałki, jest pomysłem bardzo dziwnym.

Jeżeli przypuścimy, że pierwiastek ten jest materyalny, cofniemy się tylko przed trudnością, ponieważ chodzi tu o wyjaśnienie ruchów materyi; po cóż więc w ten sposób komplikować zagadkę?

Filozofowie, tytułujący się materyalistami, nie przypuszczają istnienia pierwiastku życia, po większej jednak części przyznają ciałom uorganizowanym pewną specyalną własność, pozwalającą nadal zachowywać różnicę pomiędzy ciałami nieorganicznemi a żyjącemi. Własności tej jednak nie określają wyraźnie. Duges powiedział: „życie jest działalnością właściwą ciałom organicznym.“ Trudno odgadnąć treść myśli H. Spencera w jego słowach: „życie jest określoną kombinacyą zmian heterogenicznych, zarazem jednoczesnych i kolejnych, we współzależności z współistnieniami i następstwami wewnętrznemi.“ Definicya ta jest może bardzo głęboka, ale nie łatwa do pojęcia. Przypuściwszy życie elementarne w atomie, mogę przedstawić następujące określenie, najprostsze, jakie tylko być może, a mające tę wyższość, że uogólnia ideę życia, czyniąc je udziałem wszystkich istot od atomu aż do człowieka: *życie jest działalnością właściwą materyi.*

Ponieważ wynikiem tej stałej działalności jest rozwój chemiczny, fizyczny i fizyologiczny, wyraz więc *życie* możemy zastąpić słowem *rozwój*.

Każde ciało zdolne swą obecnością wywołać zmianę w innem, wywrzeć jakiekolwiek działanie na inne ciało, obdarzone

jest siłą, a zatem żyje. Czy możemy powiedzieć, że ciało jest martwe w rzeczywistem znaczeniu tego wyrazu, gdy posiada tę skromną i prostą własność, że istnieje? Weźmy atom. Oddany swym własnym siłom skupia on się w rozmaite ciała. Chemia jest badaniem tych atomowych skupień. Zdolność, która kieruje elementarnemi połączeniami, leży w samym atomie. Im więcej związki są złożone, tem bardziej złożone są ich własności, zmieniające się stosownie do układu pierwiastków i liczby ciał składowych. Weźmy np. fosfor biały; ogrzewając go w pewnych warunkach, otrzymamy fosfor czerwony, obdarzony prawie zupełnie odmiennemi od pierwszego własnościami. Przekłuwszy końcem szpilki kilka komórek w mózgu człowieka, odbieramy mu pewne zdolności (np. mowy); zniszczywszy więc grupy fizyologiczne, zniszczyliśmy jednocześnie własności fizyologiczne. Zastępując we krwi tlen chloroformem lub tlenkiem węgla, znoszę nietylko przesyłanie pobudek mózgowych, ale zarazem samą myśl i wolę. Sprowadzając zatem zamieszanie w ustroju chemicznym, niszczę własności umysłowe.

Przykłady te nasuwają nam na myśl ważne wnioski. Jeżeli zmieniając sposób skupiania atomów, ich liczbę lub jakość, w równym stopniu niszczymy chemiczne, fizyologiczne i umysłowe własności ciał, na jakiej więc poważnej podstawie mamy prawo utrzymywać, że życie nie jest jednakie dla całego szeregu stworzeń, począwszy od prostych istot chemicznych, aż do myślących? Czyż nie mamy więc prawa uważać życia za jedno, zmieniające się tylko stosownie do stopnia złożoności ciał? Działalność jednych atomów na drugie jest życiem chemicznem; działalność molekuł lub grup atomów jest życiem fizycznem; działalność komórek życiem fizyologicznem prostem; działalność wreszcie organów lub skupień komórkowych — życiem roślinnem i zwierzęcem, t. j. fizyologicznem złożonem. To ostatnie jest wynikiem wszystkich poprzednich, źródło zaś jego spoczywa w atomie. Możemy go więc uważać za istotę żyjącą, obdarzoną wewnętrzną i, że tak powiemy, osobistą energią.

Przy oznaczaniu granicy pomiędzy ciałami organicznemi i nieorganicznemi opierano się dotąd jedynie na obecności węgla. Innego kryteryum niepodobna było znaleść. Najprostszym związkiem, który otwiera szereg ciał organicznych jest bezwodnik węglany. Sam jednak węgiel, a nawet jego związek pierwszego stopnia z tlenem — tlenek węgla uważany jest za ciało nieorganiczne. Że ciała, zawierające węgiel, mają pewne własności różne od innych, to oczywiste; lecz tak samo ma się rzecz ze wszystkimi innymi pierwiastkami: tak samo obecność każdego z nich w pewnym związku zmienia jego własności. To więc wzmiankowane działanie węgla nie ma w sobie nic specyalnego, coby tłomaczyło wielki podział istot na dwa szeregi, który był podstawą wielu dotkryn filozoficznych i naukowych, nadzwyczaj ząciętych.

Przyznając życie w formie najprostszej dopiero komórce, musielibyśmy go odmówić tlenowi, temu nieodzownemu czynnikowi w życiu roślin i zwierząt.

Skądże by on jednak czerpał tę nadzwyczajną zdolność ożywiania komórek obumarłych, przywracania krwi koloru jasnoczerwonego, właściwego jej w arteryach płucnych?

Przy budowaniu dawnego podziału ciał na organiczne i nieorganiczne, opierano się na samych tylko różnicach, nie bacząc zupełnie na podobieństwa; stąd w roślinach i zwierzętach zauważono pewien rozwój, nieistniejący w państwie nieorganicznem.

„Organizmy żyjące — głosi powszechne mniemanie — są siedliskiem rozkładu, reorganizacyi. W tkankach ich odbywa się ciągła asymilacya i wydzielanie ciał obcych. W krysztale zaś nowe cząsteczki układają się tylko na jego powierzchni.“

Czy jest to jednak prawdą, że ciała żyjące koniecznie są siedliskiem tworzenia się i rozkładu? Weźmy np. ziarno zboża, organizm żyjący, zdolny do rozmnażania się; włóżmy je do naczynia, gdzie będzie pozbawione ciepła i wilgoci a zachowa się ono tam nienaruszone przez całe wieki, żaden ze składających go atomów nie okaże najlżejszego ruchu. Ale postawmy je śród warunków niezbędnych dla jego rozwoju, a życie nie omieszka się w nim objawić. Podobnież rzecz się ma z reakcyami chemicznemi, oraz ze zjawiskami fizycznemi i fizyologicznemi: żelazo do utlenienia się potrzebuje obecności powietrza, krystalizacya chlorku sodu może się odbywać tylko w płynie nasyconym i w oznaczonej temperaturze; mózg nasz wytwarza myśl i wolę śród koniecznych dla niego warunków—utleniania się składających go organicznych związków, ciepła itp.

Do wszystkich tych zjawisk możemy zastosować jednę i tęż samę formułę, a mianowicie, że normalny rozwój każdego ciała może zachodzić tylko śród normalnego otoczenia.

„Ciało żyjące — mówi dalej autor — rodzi się, rozwija i umiera. Wszystkie jednak ciała podlegają temu. Jeżeli ziemia była początkowo w stanie lotnym, wszystkie istniejące na niej ciała zwolna się potworzyły i zrodziły. Czy zaś rozwój ich trwał chwilę, czy lat miliardy, jest to dla nas rzeczą obojętną. Kwestya czasu ma tu podrzędne znaczenie.“

„Istoty żyjące rozmnażają się.“ Dać jednak życie istocie do siebie podobnej, nie jest to stworzyć ją. Owoc oddziela się od drzewa, podobnie jak komórka od organizmu kobiety. Dwa te ciała są identyczne z ogółem wszystkich innych komórek organizmu, który je wytworzył. Czyż jest co w tem dziwnego, że nowe te ciała obdarzone takiemiż samemi, jak ich przodkowie chemicznemi i fizyologicznemi własnościami, znalazłszy się śród odpowiedniego otoczenia, rozwijają się w podobny, jak i tamte, sposób?

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o ruchach właściwych różnym istotom.

Zwierzętami nazwano istoty, dowolnie się poruszające. Badanie roślin wykazało jednak, że wiele z nich, zwłaszcza w formach niższych, obdarzonych jest ruchami podobnymi do ruchów zwierząt mikroskopijnych. Magnes przyciąga żelazo — jest to ruch jemu właściwy. Kryształ chlorku sodu, dążący dowolnie do drugiego kryształu dla utworzenia jednej masy, dowodzi, że wolny od wszelkich więzów może się swobodnie poruszać.

We wszystkich działaniach chemicznych widzimy ruch właściwy atomom. Czyż nareszcie samo powszechne przyciąganie nie jest rodzajem ruchu, właściwego materyi, bądź organicznej, bądź nieorganicznej? Czy uderzenie piorunu tak dobrze nie zabija drzewa, jak owad lub człowieka? Czyż nie jesteśmy wszyscy równi wobec natury?

A geniusz, powie mi kto, a cnota, a sztuka? Ileż waży a w porównaniu z kawałkiem ołowiu wspaniała organizacya Henryka Regnaulta?

Co nam kto chce mówić o prawach specyalnych i życiowości wyłącznej, gdy ze stosu, na który rzucimy bez ładu świecidełka, perły, kwiaty, owady i człowieka nie pozostanie nic więcej nad dymiącą się kupę, w której popioły wszystkich tych istot będą zmieszane nie do odróżnienia. Rzucicie ten popiół w kąt ogrodu a każda korona kwiatowa zawierać będzie cząstki tych istot, które wydawały się tak różnemi.

Oto jest życie powszechne, rozwój wieczny.

Śmierć bezwzględna nie istnieje. *Nic się nie stwarza i nic nie ginie.* Wszystko się ciągle przetwarza.

(D. n.).

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

K. Węgierski **Pisma wierszem i prozą**, Lwów, Altenberg 1882.

W dalszym ciągu „Biblioteki klasyków polskich“ szybko w tem przedsięwzięciu idący naprzód wydawca przedrukował prace Węgierskiego. Jest to jeden z najpotrzebniejszych a więc najważniejszych tomików. Węgierski bowiem mniej był u nas przedrukowywany, niż przepisywany; jak kozioł ofiarny musi on dźwigać ciężkie brzemię grzechów nieobyczajności poetyckiej najrozmaitszego pochodzenia, podczas gdy odtrąciwszy nieliczne wybryki jego pióra, zgodne zupełnie z nastrojem epoki, był to poeta wyjątkowej w swym wieku czystości sumienia. Wznosił on dumne i niezmazane czoło pośród służalczej czeredy rymotwórców, odczuwał szczerze niedolę kraju, rzucał śmiało wzgardę w oczy, prawdy korcem nie nakrywał, przed potęgą możnowładczą nie drżał i na kolana nie padał. Uważnie odczytane i do warunków odniesione prace jego składają najpiękniejsze świadectwo nie tylko talentowi, ale i charakterowi. Postępowe umysły, szukające w przeszłości pokrewnych sobie przodków, nie powinny zapominać o tym dzielnym buntowniku, który zbyt wcześnie zgasł, ażeby mógł coś trwalszego po sobie zostawić, ale zbyt wyraźnie się zarysował, ażeby na szacunek nie zasługiwał. Pryapowo wieńce, którymi tradycya dotąd go zdobi, należy zerwać z tej szlachetnej głowy. Uczynił to nader umiejętnie K. Estreicher w przedmowie do obecnego wydania *Pism*. Oświetlił on, na ile szczupłe dane pozwalają, kilka ciemnych punktów, uczcił sprawiedliwie zasługi pisarza, któremu dotąd kazano w literaturze naszej grać rolę potwarcy i hultaja. Rzecz szczególna: dwu krytyków jednocześnie upomniało się za Węgierskim: Estreicher i Bem w *Ognisku*: widocznie wybiła dla sponiewieranego poety godzina sądu bezstronnego.

Zwracam uwagę czytelnika, któremu do rąk świeżo wydana książka się dostanie, na memoryał poety w sprawie z Wilczewskimi. Co to za pyszny, co za wymowny protest przeciwko zuchwalstwu możnowładców XVIII w. — tem charakterystyczniejszy, że go autor odpokutował w kozie. „Źrenica wolności“ wówczas tak na rzeczy patrzyła, że gdy pan najechał swego sąsiada i wierzyciela, kilka osób zabił, inne poranił i majątek zabrał — skarga przeciw gwałtowi była występkiem.

A. S.

Antologia obca, Lwów, Altenberg 1882.

Po szybkiem rozejściu się *Antologii polskiej* wydawca puścił w świat *Antologię obcą*. Jest to bukiet najcelniejszych drobnych kwiatków poezyi cudzoziemskiej. Na podobieństwo książki poprzedniej, i ta odznacza się wszystkiemi zaletami przepychu: w papierze, druku i oprawie — dzięki Brockhausowi. Stronice jej zdobi nadto 20 małych portretów. Za inne, poetyczne zalety tego cacka ręczą pomieszczeni w nim autorowie.

W. Pol **Mohort** z 24 ilustracyami J. Kossaka. Lwów, Altenberg 1882.

Trzecie z kolei wydawnictwo ozdobne tejże firmy. Wspominaliśmy o niem w miarę ukazywania się pojedynczych zeszytów. Teraz mamy ukończoną całość. Osnowę

utworu pomijamy jako powszechnie znaną. Co do ilustracyi wydawca był w tem szczęśliwem położeniu, że mógł je powierzyć odpowiedniemu i zdolnemu artyście. Wiadomo, jaką energię i wdzięk posiada ołówek Kossaka w kreśleniu koni i wogóle scen rycerskich. *Mohort* właśnie do takich obrazów daje materyał i zupełnie wpada w zdolności artysty. To też ilustracye przeważnie są bardzo ładne.

J. Słowacki **Lilla Weneda**, z ilustryacyami Andriollego. Warszawa, Orgelbrad.

O poemacie mówić nie potrzebujemy, tylko o wydaniu. Jest ono bardzo kosztownem, a ozdobnem o tyle, o ile Andriolli ołówkiem tekst poetów naszych upiększać może. Wyznajemy nie po raz pierwszy, że nie należymy do wielbicieli talentu tego skądinąd nader sympatycznego artysty. Maniera i pośpiech splatają się w jego pracach tak wyłącznie, że często oprócz nich trudno coś więcej dostrzedz. Z tego też małżeństwa rodzą się nieraz wiedźmy, postacie rozczochrane i poskręcane, przesadne i nienaturalne. Zaledwie w szczególach błyśnie talent i... praca. Wiele tych ujemnych właściwości przypadło i na *Lillę Wenedę*. Trzeba jednak usprawiedliwić wydawcę. Niemamy ilustratorów lepszych. Pillati w pomysłach martwy, Kossak po za końmi traci siłę. Motty... ach!... *S.*

St. Markiewicz. **Pierwsze letnie kolonie u nas**. Warszawa, 1882.

W książeczce tej autor publiczną zdaje sprawę z przedsięwzięcia, którego był inicyatorem i duszą a którego w ciągu niespełna dwóch miesięcy z prawdziwym pożytkiem klas niezamożnych dokonał. Kto zna przestrzeń, dzielącą u nas wogóle projekty od ich urzeczywistnienia, ten łatwo oceni całą doniosłość zasługi dra M. Jakkolwiek od r. 1879 pomieszał on w pismach tutejszych artykuły, wykazujące naglącą potrzebę zaprowadzenia u nas tak zwanych *kolonij letnich*, udzielenia ubogim dzieciom miejskim „jałmużny w postaci czystego powietrza“ — dopiero 1 maja r. z. przystąpił do spełnienia swej myśli. Spełnił ją szczęśliwie mimo zawodów, doznanych ze strony, z której ich najmniej mógł się spodziewać.

Po kilku uwagach wstępnych, autor dosyć szczegółowo opowiada historyę przygotowań, poczynionych w celu urzeczywistnienia planu kolonij letnich, daje wskazówki co do wyboru miejscowości, dozorców i dozorczyń, zapewnienia dzieciom odzieży itd., wreszcie komunikuje spostrzeżenia lekarskie, głównie dotyczące różnicy stanu zdrowia przy odjeździe z Warszawy i po powrocie do niej. Razem wysłano dzieci 54, w wieku pomiędzy 8—13 rokiem, chłopców 31, dziewcząt 23. Nie licząc ofiar w naturze, jak: bezpłatnego mieszkania, przejazdu itp. ze składek na urządzenie kolonij zebrano 1,536 rs. $25\frac{1}{2}$ k., a że wydatki wyniosły 1,449 rs. $75\frac{1}{2}$, pozostało więc funduszu zapasowego na rok przyszły 86 rs. 50 k. Według obliczeń autora każde dziecko w ciągu 30dniowego pobytu średnio kosztowało 24 rs. 79 k.

Rzecz cała napisana jest bardzo interesująco i stanowi nadzwyczaj ciekawy przyczynek do usiłowań naszych w dziedzinie filantropii.

Ad. J. C.

LIBERUM VETO.

Co zrobiłby człowiek zwykły a co zrobił wyższy. — Kiedy p. Coquelin akurat wystąpił. — Gdyby tak Żółkowski... — Legendy i mity. — Zniknięcie nasze z ziemi. — Otwarcie zamkniętej polemiki. — Na co *Prawdy* nie wydajemy. — Nieśmiertelni: Oettingen, Spencer i Lange. — Insynuacya. — Co myć trzeba.

Tego samego dnia, kiedy w Paryżu chowano ciało Gambetty, jego przyjaciel rozpoczął w Warszawie swoje występy komiczne. Akurat tego samego dnia! Zwykły śmiertelnik może by ten dzień przepłakał, przebolał, możeby odłożył widowisko bodaj na jutro, może by nawet wyjechał do Paryża dla uściśnienia po raz ostatni martwej ręki przyjaciela i wielkiego patryoty. Ale inaczej postępuje człowiek wyższy, jakim jest p. Coquelin. Kiedy ojczyzna kładła do grobu swego wielkiego syna, znakomity komik swobodnie bawił publiczność warszawską, bawił ją ów Coquelin, który należał do najściślejszego kółka Gambetty i szczycił się tem odznaczeniem, który wreszcie niedawno w *Figarze* z rycerskim zapałem walczył w obronie szlachetnych uczuć aktora. Ponieważ niepodobna przypuścić, ażeby go śmierć zbawiciela Francyi nie obchodziła, więc podziwiać musimy dobry humor artysty. Żałuję mocno, że już dawniej p. Coquelina widziałem i że nie czułem chęci zobaczenia go w naszym teatrze. Gdybym był wiedział, że pierwszy jego występ przypadnie w dniu pogrzebu Gambetty, byłbym kupił bilet na przedstawienie dla tego tylko, ażeby ujrzeć, jak gra komik, przed którego oczami stoi cień zbolałej ojczyzny. Widmo to musi dodawać szalonej werwy i budzić w artyście szczerą wesołość.

Ale zauważyć winienem, że p. Coquelin niepotrzebnie postanowił nas zabawić, gdyż humoru nam nie brak. Dba o to przedewszystkiem p. A. G. w *Nowinach*, wyśpiewujący niezmordowanie swoje kuranty na temat oświaty i moralności. Znając prawdomówność wszelkich afiszów, zapowiadających „ostatnie przedstawienia,“ spodziewaliśmy się, że szanowny bawiciel, zamknąwszy nieodwołalnie swą polemikę, jeszcze ją nieraz otworzy. I otworzył. „Kucharka, strażak...“ co to jest? pytacie. To słownictwo autora „przyzwoitej polemiki.“ który wydobywa się z kilku samotrzasków, w jakie nieszczęśliwie wpadł, co mu wcale nie przeszkadza ustawicznie krzyczeć: panie sędzio-czytelniku, jak on mi „wymyśla.“ Wymyślaniem bowiem nazywa p. A. G. każde udowodnienie mu nieznajomości rzeczy, każde sprowadzenie jego majaczeń *ad absurdum*. Jeżeli mu powiesz: Cousin w swych *Discours politiques* twierdzi: „Pierwszem źródłem występku i nędzy jest ciemnota (*ignorance*),“ to możesz z *Nowin* zawołać: ten pan wymyśla mi (od *kuzynów*). Kilkakrotnie zauważył on, że nieznane mu są cele naszego wydawnictwa *). Ponieważ szczegółowe objaśnienie naszych idej byłoby dla niego równie niezrozumiałem, jak dla nas niepojętym jest swojego rodzaju szczyt p t. „Dwa okrzyki — dwa obozy“ w *Nowinach*, więc odpowiemy pokrótce tylko, w jakim celu *Prawdy* nie wydajemy: Otóż nie wydajemy jej:

1) dla napełniania szpalt majaczeniami i brutalną ich obroną;

2) dla przedrukowywania ustępów z książek, które piszący winien był wprzód gruntownie poznać, zanim się na nie powołał, a których czytelnicy dla jego korzyści studyować nie są obowiązani;

3) dla nieskończonej polemiki z ludźmi, którzy ani o przedmiocie, ani o utrzymaniu sporu w jego granicach nie mają najmniejszego pojęcia i dla których *stat pro ratione voluntas*.

P. A. G. posiada dużo „nowych idej,“ których sama reprodukcya mogłaby w czytelnikach naszych wzbudzić niezawodny wstręt, a jeszcze więcej papieru, który jego statystycznemu liryzmowi cierpliwio służy; nie możemy więc dalej szczupłego miejsca poświęcać psychiatrycznej analizie wyskoków pisarza, który w roztrząsanej sprawie nie jest ani przeciwnikiem poważnym, ani sumiennym. Ostatni jego już, widocznie słabszy paroksyzm składa nowe a już zbyteczne tego powody.

Naprzód p. A. G. — którego cały plan gmachu „nowych idej“ w tym przedmiocie rzucony został niemal dosłownie według podręcznika Haushofera — zawyrokował, że Oettingen jest wyznawcą szkodliwego wpływu oświaty na moralność. Wykazaliśmy mu cytatą, że to fałsz. Potem oskarżył nas, żeśmy z *Nowin* wypisali „te same“ cyfry Oettingenowskie. Zaznaczyliśmy również, że to fałsz. Wtedy gruntowny badacz uznał, że ostatecznie trzeba poznać bodaj kilka odnośnych kart Oettingena, kazał więc dla siebie przełożyć i dla siebie wydrukować jeden rozdział z *Moralstatistik*. Uczyniwszy to, wywnioskował, że „p. A. S. nie miał prawa walczyć z nim Oettingenem.“ Otóż p. A. S. miał do tego prawo, bo, uprzedziwszy zgóry, że nie godzi się na teologiczne stanowisko pastora dorpackiego, chciał tylko dowieść, że go p. A. G. nie zna, oraz, jak rozstrzygają kwestyę prawdziwi uczeni nawet przeciwnego nam obozu.

Ponieważ p. A. G. utrzymywał, że wiedza nie wpływa na moralność i zasłonił się Spencerem, więc przytoczyliśmy słowa filozofa angielskiego, utrzymującego, że wpływ ten posiada tylko wiedza, działająca na uczucia. Teraz p. A. G. powiada, że twierdził to samo. Tymczasem w nrze 352 *Nowin* czytamy: „sfera pojęć *rozbiega się* ze sferą uczuć tak dalece, iż zjawiska, zachodzące w każdej z nich wymagają osobnych nauk;“ nr. 347: „Oświata i moralność narodu są to dwa fakty niezależne od siebie. Umoralnić więc ogół za pomocą oświaty, a tem bardziej szkoły (gdzie wykłada się wiedza działająca na uczucia) tak samo *nie można*, jak poprawić go za pomocą chustki od nosa.“ To ma być odbicie teoryi Spencera!

Następuje inny szczegół, którym spodziewam się sprawić istotną czytelnikom przyjemność. Istnieje dziwny zwyczaj, obowiązujący każdego, kto powołuje się na cudze świadectwo, ażeby je przytoczył z zupełną ścisłością. Wie o tem zarówno sumienny uczony, jak sędzia. Dla wykazania p. A. G., że Langego nie zna, przytoczyłem mu dosłownie przetłomaczone cytaty z oryginału. „Dla czego p. A. S. fatygował się — pyta uczony przeciwnik — mając przekład polski?“ Możnaby tu parsknąć śmiechem, gdyby nie nadarzała się lepsza do tego sposobność. P. A. G., tonąc, czepia się brzytwy i przypuszcza, że w oryginale nie znajduje się wyraz *Bildung*. (oświata) ale *Kultur*, która „znaczy to samo, co cywilizacya“ Ponieważ p. A. G. widocznie języka niemieckiego nie zna a w tym wypadku każdy inteligentny czytelnik może być kompetentnym między nami rozjemcą, więc muszę mu zdradzić tajemnicę, że *Bildung* znaczy po niemiecku *ukształcenie*, *oświata* zaś *Aufklärung* (w ściślejszem) *Kultur* (w szerszem znaczeniu). Jeżeli zaś to p. A. G. się nie podoba, niech raczy uwiadomić p. Goslera w Berlinie a Conrada w Wiedniu, ażeby odtąd uważali się za *ministrów cywilizacyi* lub nazywali *Bildungsminister*.

Jeszcze próbka. Odpierając uwagę naszą, że p. A. G. posądza pisma postępowe o podkopywanie „materyalnego bytu“ i że dla polemiki z p. K. S. „zbrakło mu miejsca i czasu,“ autor opatruje ją pytajnikiem i dodaje: „Ubolewam nad p. A. S., że w *jego* umyśle mogła się zrodzić podobna *insynuacya*... Byłoby lepiej dla literackiej działalności p. A. S. gdyby dopisek ten dał się bodaj wymyć.“ A więc ów potwarczy p. A. S. zmyślił obawę p. A. G.

*) Jeżeli szczęśliwemi mogą być tylko wieprze—powiada p. A. G. – to po co p. A. S. wydaje pismo? Dla nieszczęśliwych; p. A. G. zaś pozostawiamy szlę zadowolonych.

o „byt materyalny“ i skłamał jego wymówkę co do braku „miejsca“ — tak? Zajrzyjmy do nr. 417 *Nowin*: „Ale żeby dzienniki postępowe—powiada autor o sobie — tak bez ceremonii gruchotały rezultaty cudzej pracy (!), żeby nawet dla swoich zasad *podkopywały* dobre imię i *materyalny byt człowieka* — to już jest po prostu nieprzyzwoicie;“ a w nrze 352: „żałuję mocno, że brak *miejsca i czasu* nie pozwala mi rozebrać opinii każdego z moich szanownych oponentów (między którymi był i p. S. K.)“

Wobec tych przypomnień nie mamy nic przeciwko „myciu,“ ale *Nowin*.

Dosyć!

Do p. A. G. słusznie zastosować można słowa Byrona, że jego „wiedza jest wymianą jednej niewiadomości na drugą innego rodzaju.“ Spór nas nie zaślepia, nie pobudzi nigdy do nieuznania objawów talentu przeciwnika, gdy one się okażą. Ale ani szanować nieuctwa, ani pobłażać zuchwalstwa i fałszu nie myślimy. Możemy tylko „ubolewać“ nad pisarzem, który zamiast działać swą siłą, skacze do oczu z gorszącą niemocą; zamiast służyć literaturze tem, co w nim wszyscy cenili, zachwaszcza ją tem, czego za szczupłem gronkiem przyjaciół nikt nie ceni. Jeżeli zaś ta ponowna przestroga nie uświadamia w nim niedorzecznego rozpędu, trudno, niech głosi „nowe ideje,“ niech mianuje „nieprzyjaciół narodowego postępu,“ niech majaczy, wykręca się, w potrzebie nawet łży... Zbyt wiele tym igrzyskom przeszkadzać nie ziemy.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

— Rozmowa z człowiekiem, który się nie ru- – Pożar Żyrardowa. — Nierówne dary losu. — nictwa w resursie lubelskiej. — Fałszywa de- yacya. — Interes do pewnego ojca w Częstocho- — Smutna historya. — Bezrobocie w Białymstoku.

Są ludzie, których zadaniem jest za- vać mi życie. Od dziada pradziada dawałem przenicę moją Moszkom erkom; oszukiwali mię oni po ze, ale żyło się jakoś przy boskiej po- y. Radzono mi, abym się porozumiał siadami, abym inaczej tę sprzedaż dzał, ale ja, panie, myślę sobie: jeszcze złowiek narazi komu... w mojem wy- owem położeniu tak porozumiewać się można; człowiek taki skrępowany! czasem, patrzcież państwo: hrubie- iacy jadą do rejenta i we dwunastu ązują spółkę handlową. Żeby też tak dzać! I to się nazywa bracia szlachta! konałem się tedy znowu, żem był nie- gą... Dobrze—powiadam, ale chłopów h uczyć czytania i pisania nie będę, to już chyba naprawdę nie można. wy powiecie! Ten ladaco Kobierzycki czowskiem, co uorganizował dawniej ebie straż ogniową, teraz dla straża- swoich urządził czytelnię!... Zbierają się panie regularnie w ciepłych i schludnych pokoikach, ośmiu chłopów, umiejących czytać, pełni kolejno obowiązek lektora, a w niedzielę i święta czynności tej dokonywa sam naczelnik straży, niejaki p. Biernacki... Cóż? Czy można żyć spokojnie na świecie? czy można siedzieć cicho u siebie w domu i chwalić Boga?“

Nie pomyśl tylko, czytelniku, że to, com tutaj napisał, są moje własne słowa; opowiedziałem tylko część mego dziwnego *snu*. Śniło mi się, żem leżał na księżycu i patrzył na ziemię. Po jej powierzchni wędrował jakiś *homo*; szedł przez czas pewien, aż potknął się o kamień i usiadł, ale tak mocno, że ziemia jęknęła. Usiadł więc i patrzy w górę na księżyc i na mnie, a ja na niego. Po chwili, gdy mnie spostrzegł, zaczął opowiadać o swoich kłopotach z Kobierzyckim i innymi. Kiedy już skończył, przypomniał sobie, że mi się nie przedstawił; zdejmuje więc czapkę i powiada: „Ja, panie dobrodzieju, jestem z *Wólki*.“ Wiem, wiem! — odpowiadam mu z księżyca. „Pan dobrodziej mnie zna?“ Alež panie, któżby pana nie znał, ja pana nie tylko znam, ale kocham; oblicze pańskie przypomina mi ojczyznę moją w pełni; (we śnie miałem siebie za obywatela z księżyca). Ale jak też pan dobrodziej umie mocno siedzieć na jednem miejscu! Czy pan długo myśli tak jeszcze?...

Odpowiedzi usłyszeć nie mogłem, bo w tej chwili do sypialni mojej wpadła osoba, która znów mnie zatruwa życie: Bój się Boga! ty śpisz a nic nie wiesz, że Żyrardów się spalił!... Przeraziłem się tą wiadomością. Wiem o istnieniu towarzystw asekuracyjnych, więc zatrwożył mnie głównie smutny los tylu tysięcy robotników pozbawionych zarobku. Dopiero później dowiedziałem się, że pożarowi uległy tylko dwa piętra głównego budynku, w których mieściła się przędzalnia. Zarząd fabryki pozbawionym warsztatów robotnikom ofiarował zajęcie w innych pracowniach, obiecując przędzalnię wyrestaurować w ciągu trzech miesięcy. Szlachetny i rozumny zarząd! Bo to, proszę państwa, 1,200 ludzi to nie żarty, to cała armia głodnych żołądków, która chce jeść 1,200 razy *silniej*, niż jeden człowiek! Bardzo szczegółowych informacyj o pożarze fabryki dostarczył niektórym pismom naszym sam pan nieboszczyk Hille. Nic dziwnego: działo się to przed nowym rokiem, to jest w chwili, gdy „organa prasy“ poruszają piekło i niebo, aby zebrać jak najobfitsze... informacye. Jakikolwiek więc był los pośmiertny pana Hille, mogło do niego dojść błaganie „organów.“ A może p. Hille uległ tylko namowom W. Łozińskiego, który, choć już także nie żyje, obiecał współpracownictwo swoje jednemu z naszych pism ilustrowanych...

Interwencya potęg nadziemskich miewa zresztą czasem bardzo dobre skutki. Oto niedawno duch jakiś natchnął pewnego obywatela z Podlasia takim wstrętem do pijaństwa, że zacny ziemianin, sprzedawszy resztę gorzałki, kazał *spalić* cały budynek, w którym mieściły się próżne kufy. Zarząd akcyzy, nie wiedząc o tym kufo-wstręcie ziemianina, oddał mu kilka tysięcy rubli „tytułem zwrotu opłaty akcyzowej za spaloną wódkę.“ Obywatel został więc jeszcze w tem życiu wynagrodzonym za cnotę wstrzemięźliwości, ale ucierpiał na niej pewien biedny urzędnik, który, po bliższem zbadaniu sprawy przez władzę, był zmuszonym podać się do dymisyi.

Tak to los (powiedziałby Homer) nierówno obdziela śmiertelnych. Jednemu daje tysiące, drugiemu — dymisyę.

Już to z tem dzieleniem często trudno jest dogodzić ludziom. Resursa obywatelska w Lublinie prosi mię, abym w jej imieniu energicznie zaprotestował przeciwko mylnym przypuszczeniom. Ona bowiem ani chce słyszeć o tem, ażeby już miał być koniec działów i abyśmy sami przez to stracili prawo do dalszego dobrowolnego dzielenia się na partye i partyjki. Cała rzesza tej szlachetnej instytucyi podzieliła się teraz na dwie gromady: *bobrów* i *starych kotów*. Bobry, rozumie się, wyższymi się czują od szarego motłochu, dlatego, no, chociażby dlatego, że mają lepsze futra. Z tego rozdwojenia wynikają teraz takie skutki, które nie zawsze pojąć można złatwością. Że kupcowa X nie chciała tańczyć z żoną mydlarza, to jeszcze rozumiem: mydło jest zapewne dla kupcowej bolesnem przypomnieniem jej własnego rozumu, który się *zmydlił* w pogoni za bobrowym — chociażby kołnierzem; ale dla czego pani adwokatowa, ktorej nazwiska wymienić nie jestem godzien, dla czego żona człowieka inteligentnego po powrocie do domu z resursy skrapia perfumami swój kostium balowy, który „prześmiardnął gminem“ — tego nie mogę i nie chcę pojąć. Mogę tylko dać adwokatowej jedną radę. Pani, jeżeli jeszcze będziesz potrzebowała perfum anti-gminnych, to poszlij po nie do laboratorium np. *Now. Wremieni*. Organ ten wie dużo o naszej solidarności, o której nieraz miał odwagę wątpić; przyśle ci flakonik, w którym płyn będzie za ciemny może, ale za to — *quel parfum, quelle inexprimable odeur... myrry*!

Resursa w Łomży radzi sobie daleko lepiej: nie dzieli się ona wcale na partye, ale jest całkiem *arystokratyczną*. Różni różne odnoszą stąd korzyści. Członkowie resursy mają pewność, że się na balach swych śmiertelnie wynudzą; filantropia łomżyńska, na której dochód odbywają się czasem te bale, wie przynajmniej, że nie umrze na zbytnią otyłość; nakoniec pesymiści wszelkich odcieni przekonają się raz przecie, że pomawiać nas o kastowość, znaczy rządzić się złą wiarą doktrynerów...

Jeżeli prawdomówność jest grzechem, to nabroiłem dzisiaj tyle, że za pokutę będę musiał chyba odbyć pieszo pielgrzymkę do Częstochowy. Uczynię to tem chętniej, że mam w tem mieście interes. Muszę powiedzieć jednemu z ojców, aby spowiadając młode dziewczątka, nie zadawał im zapytań, które oblewają rumieńcem ich lica i zmuszają uciekać z płaczem od konfesyonału... Wiem ja, że podczas posuchy na pobożne dusze i wdowie grosze pątników trzeba się jakoś ratować od nudów, ale... Kordecki nie walczył taką bronią, a jednak był zwycięzcą.

Pokrzepiwszy ducha w Częstochowie, mogę się teraz udać daleko, bo aż nad brzegi Dniepru W jednym z powiatów gubernii mohylewskiej, odgrywa się teraz ostatni akt smutnej bardzo komedyi. Przed rokiem 1861, ziemianin pewien, przewidując ciężkie zmiany w systemie produkcyi rolnej, chłopom swoim osiadłym na dobrze uprawnych gruntach sprzedał podstępnie wzamian za nie jakiś kawał nieużytków i pustek. Akt sprzedaży podpisany został przez miejscowego pisarza gminnego, na mocy sfałszowanego upoważnienia gromady. Włościanie, którzy o niczem nie wiedzieli, przerazili się mocno, gdy po r. 1863 nowy właściciel siedzib chciał ich rugować. Władze miejscowe i gubernialne w żaden sposób pomódz nieszczęśliwym nie mogły. Od owego czasu aż do dnia dzisiejszego ciągnie się ta bolesna walka ciemnoty i niedołęstwa ze stalowym nieugiętym wyrokiem.

Jeszcze jedna notatka. W Białymstoku właściciel fakiejś fabryki obniżył płacę swym robotnikom. Wskutek tego 70 rodzin urządziło bezrobocie. Czyżby to miał być pierwszy powiew owych prądów, dla których gruntu wśród nas nigdy nie będzie? O Warszawo, jakże wielką jest twoja ślepota, skoro maleńki Białystok może ci dawać lekcye socyologii!

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 11 stycznia.

Jeszcze nie przebrzmiały echa skarg żałobnych, zawodzonych nad grobem Gambetty, gdy w osieroconą Francyę nowy ugodził cios, który ją pozbawił drugiego wiernego jej syna. Umarł generał Chanzy.

Jaki wpływ wywrą te straty przedewszystkiem na losy ojczyzny wielkich nieboszczyków, a potem na stosunki i bezpieczeństwo najbliższych jej sąsiadów? — oto pytanie, którem w ciągu tygodnia ubiegłego głównie zajmowały się sfery polity-

czne Europy. Z pomiędzy różnorodnych przypuszczeń i opinij w tej mierze najgodniejszem uwagi jest zdanie, przypisywane samemu Bismarkowi, który miał się wyrazić, że śmierć Gambetty może tylko szkodę sprowadzić dla Niemiec. I w rzeczy samej, nie trudno spostrzedz, że choć Gambetta był najzaciętszym wrogiem ostatnich i najwytrwalszym przedstawicielem idei odwetu, to jednak był on zarazem i najrozumniejszym mężem stanu i dopóki żył, zwycięzcy z r. 1870 mieli rękojmię, że lekkomyślnie w wir wojny się nie rzuci, oraz, że odwet, jeśli przyjdzie, przyjdzie do skutku dopiero po gruntownych i wszechstronnych przygotowaniach, za lat kilka lub kilkanaście może. Przeciwnie, gdy nie stanie męża z Cahors, do steru rządu w rzeczypospolitej francuskiej mogą dostać się żywioły monarchiczne i anarchiczne; dla pierwszych koniecznym warunkiem zdobycia sobie sympatyi narodu byłoby odbudowanie terytoryalne, drugie zaś nadto przykładem swoim mogłyby pociągnąć za sobą stronnictwo przewrotu w Niemczech samych i w państwie tem rozniecić pożar zaburzeń wewnętrznych. Obawa wojny więc i potrzeba zbrojenia się dla Prus nietylko się nie zmniejszyła, lecz owszem wzrosła o wiele.

Nie bardzo też zadawalniającem jest położenie Austryi, która straceniem Oberdanka świeżo wywołała przeciwko sobie niechęć i knowania iredentystów we Włoszech. A jakkolwiek koła rządowe w obu krajach dotychczas jeszcze czują się obowiązane wzajemne prawić sobie komplimenta, kto wie, czy nie wystarczy lada poważniejsze zawikłanie, żeby starą nienawiść do tedesków w całej obudzić sile.

W Turcyi zdaje się znów nadciągać katastrofa. Ciągłe spiski i przesilenia ministeryalne, a w dodatku zabiegi obcych agitatorów dla wyswobodzenia Armenii z pod panowania tureckiego, wszystko to każe przypuszczać, że już nie długo przyglądać się będziemy męczarniom „chorego człowieka.“

Sprawa egipska, z pozoru całkowicie na korzyść Anglii rozstrzygnięta, nie małych jej przysparza kłopotów. Do ostatnich wiadomości w tym przedmiocie należy: odrzucenie przez gabinet francuski propozycyi angielskiej co do prezydentury w komisyi długu publicznego i rozesłanie przez lorda Granvilla noty okólnikowej, w której wzywa mocarstwa do uznania zasady wolnej żeglugi na kanale suezkim.

Gdy to wszystko się dzieje, tymczasem w Niemczech, w Austryi, a w części i we Francyi powodzie szerzą klęski i spustoszenia; skupczyna serbska walczy z ozerniającymi ją dziennikarzami, książe Bismark ma satysfakcyę, że sądy skargi o obrazy honoru jego, bez ceremonii odrzucają (Momsen i Gilles), a kedyw wspaniałomyślnie powstańcom udziela amnestyę.

Cn.

CUDZE GŁOSY.

Jednostronność. Przeciwko „przesadzonemu zajęciu się ważnością teatru polskiego w Poznaniu,“ wystąpił w *Kuryerze Poznańskim* p. W. Wolniewicz, b. prezes centralnego Towarzystwa rolniczego, który zwraca równocześnie uwagę tamtejszego społeczeństwa na inne potrzeby, „równie ważne, bodaj czy nie naglejsze i nie naglące bardziej.“

„Niezaprzeczenie, dodatnie wpływy i skutki sceny narodowej są tak uznane, że rozprawiać o nich jest rzeczą zbyteczną. W położeniu jednak naszem krytycznem, gdy bieda coraz wyraźniej rozsiada się wśród społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim, gdy u nas wszelkie potrzeby narodowe, o wiele od teatru ważniejsze, tylko ofiarnością społeczeństwa się zaspokajają, grzechem byłoby i występkiem jakiekolwiek kosztowniejsze urządzenie teatru. Powinno ono być jaknajskromniejszem a wszelkie wymagania nasze pod tym względem zredukowane winny być do tej miary, aby teatr spełniał jedynie etyczne swe i intelektualne zadanie, dla którego właśnie jest dla nas ważną i użyteczną instytucyą.

„Nie powinno nam chodzić o zaspokojenie wymagań naszej arystokracyi i złotej młodzieży, gdyż ta zwiedzając niemal wszystkie stolice Europy, znarowiła się widokiem wytwornych pod względem dekoracyi teatrów. Niemniej i bez baletu się obejdziemy. Nie budowano bowiem teatru w Poznaniu dla wywołania emocyi u wielkich pań lub u złotej młodzieży, ale dla wyższych celów narodowych i dla najszerszej publiczności.“

P. W. rozpatruje się następnie w potrzebach innych instytucyj narodowych. Otóż wsparcie domaga się przedewszystkiem „Towarzystwo czytelni ludowych,“ w którego sprawie sam inicyator składek na teatr, *Dz. Pozn.* nawołuje: nie szczędźcie grosza na to towarzystwo! Wydatek to najszlachetniejszy i zarazem najsowiciej się opłacający. Ratować bowiem i opiekować się przedewszystkiem należy tem, *co żyje i żyć pragnie.* Społeczeństwo nasze, w tak smutnych żyjące warunkach, nie pomnikom i monumentalnym budowlom, ale pierwszeństwo dać winno *żywym i życiu...*

Kuryer Poznański przemawia w tym samym duchu i radzi, aby zebraną dotychczas na teatr sumę zaokrąglić do 50,000 marek, a następnie zwrócić się z całą energią ku wspomaganiu „Towarzystwa czytelni ludowych“ i „Pomocy naukowej.“

„Kilkadziesiąt tysięcy książek—powiada *Kuryer*—rozrzuconych po kraju, rozbudziłoby chęć do czytania, lud domaga się sam książek, a tymczasem zarząd Czytelni musi z braku funduszów dawać odmowne odpowiedzi. Tak samo odpowiada „Pomoc naukowa“ na podania swych petentów. Zwróćmy przeto usiłowania nasze głównie ku wzmocnieniu tych dwu instytucyj. Obojętną jest dla nas rzeczą — mówi dalej — czy w Poznaniu kilkaset osób napasie wzrok swój *Księżniczką Trebizondy* albo *Stu dziewicami*; ale wcale nie obojętną, gdy setki chłopów polskich żądają od nas pouczającej książki, a Towarzystwo Czytelni dać jej nie może, lub kiedy Tow. Pomocy Naukowej całe dziesiątki zdolnej młodzieży trzymać musi na liście —ekspektantów.“

Podaliśmy w streszczeniu trzy zgodne z sobą głosy, z różnych kół społeczeństwa poznańskiego, uważając je za pocieszający objaw wyjątkowej jednomyślności w zapatrywaniach na najżywotniejsze sprawy tego odłamu naszego narodu, któremu los przeznaczył ciężki wieść bój z niemczyzną.

Fabrykowanie historyi. Mieliśmy już sposobność zaznaczyć raz na tem samem miejscu, że pisanie historyi w Prusiech tworzy niejako jeden z departamentów ministeryum. Biuro to obsługuje znaczna ilość urzędników: są to królewscy archiwaryusze, królewscy profesorzy królewskich gimnazyów i inni urzędnicy... królewscy. Tym królewskim dziejopisarzom poświęcił poseł Kantak osobną mowę na jednem z posiedzeń sejmu pruskiego. Pomijając mniejszych azorków, rozwiódł się przedstawiciel Wielkopolski szerzej nad dwoma urzędnikami archiwum poznańskiego, dr. Meyerem i dr. Bärem. Ostatni czytelnikom *Prawdy* już znany; wypada nam więc tylko jeszcze zarekomendować pierwszego, jako autora *Geschichte des Landes Posen.* Z dzieła tego, które, jeżeli nie zrobiło jeszcze dotychczas, to w przyszłości niewątpliwie dokona zapewne niesłychanego przewrotu w historyografii, dowiadujemy się przedewszystkiem, że „dzieje niemczyzny w Wielkopolsce—to dzieje oświaty a cały wewnętrzny rozwój tej prowincyi związany jest ściśle z przybyciem i rozszerzeniem się żywiołu niemieckiego tamże.“ Wyjątek ten, acz krótki, dał już prawdopodobnie dostateczną czytelnikowi miarę do odgadnięcia i należytego ocenienia całokształtu poglądów szanownego archiwaryusza; podamy więc już tylko parę dowodów, świadczących niezbicie o „gruntowności“ nowego adepta *geschichtsbaumeisterskiej* szkoły. Otóż dr. Meyer twierdzi np., że „wieki XVI i XVII pozostały zupełnie jałowe dla krajowego dziejopisarstwa,“ — podczas gdy wiadomo, a stwierdza to i prof. Caro, znany kontynuator *Dziejów Polski* Roeppla, że właśnie w tym okresie historyografia polska znajdowała się w stadyum rozkwitu. Na innem zaś miejscu twierdzi tenże mąż, że „król (Batory) postanowił, aby w przyszłości rozdawano biskupstwa *tylko katolikom.*“ Wystarczy!

Opinie hr. Kalnoky'ego, austryackiego kierownika spraw zewnętrznych, zdradziła w *Czasie* krakowskim jakaś niedyskretna „znakomitość“ węgierska. Z listu tego „znakomitego“ węgra dowiadujemy się, że niechęć przeciwko hr. Kalnoky'emu wzrasta z dniem każdym „nawet w poważnych kołach politycznych,“ wzmaga się zaś od chwili, gdy powstało podejrzenie, że hr. Kalnoky ma zamiar zbliżenia się na własną rękę do Rosyi. Korespondent nie wie wprawdzie (aha!), czy hr. Kalnoky istotnie jest zwolennikiem Rosyi, ale ręczy za to, iż nie cierpi on polaków. „Ta jego nienawiść, z którą już kilkakrotnie się zdradził (szczególna nieopatrzność!), zwróciła w Peszcie uwagę i dziwić się temu nie można, albowiem jesteśmy wielce na tem punkcie drażliwi...“ I my się temu nie dziwimy, wiemy bowiem aż nadto dobrze, ile węgrzy przywiązują wagi do przymierza z niemcami, dla podtrzymania którego chwytają się aż takich, jak powyższa w *Czasie* sztuczek, aby przy sojuszu tym stali twardo także galicyjscy mężowie stanu, których zresztą o panslawizm nikt nie posądza. Dziwimy się jedynie, że prasa galicyjska tak *sine grano salis* wysłuchała całego tego mitu o antypatyi ku nam Kalnoky'ego

Zamknięcie roku. Jak inne czasopisma — i słowackie *Narodnie Noviny* kończą rocznik swój ubiegły przeglądem całorocznej pracy narodu około podniesienia się z materyalnego i duchowego upadku. Bilans to nadzwyczajnie smutny, ale nie wolno zań winić przywódców słowackich, którzy, acz bezskutecznie dotąd, wszelkich dokładają starań, aby ciężko karki słowackie przygniatające jarzmo węgierskie uczynić ludowi swemu znośniejszem przynajmniej.

„*Cožž kedj wiac utrpenia, nešli prace!*— woła jedyny słowaków dziennikarz polityczny. Rok upłyniony — powiada on dalej — był dobą prześladowania młodzieży słowackiej i słowackiej literatury. A przecież prasa nasza nosiła na sobie znamiona czystości, umiarkowania i skromności. I cóż takiego znaleziono w naszem działaniu, przeciwko któremu *Acheronta movebant?...*

Węgierscy szowiniści, gdy mają przytaczać fakta, którymi rzekomo zgrzeszyliśmy przeciw ojczyźnie, milczą albo wykręcają się ogólnymi frazesami.

My atoli możemy podać fakta.

Knowania nasze panslawistyczne polegają na pielęgnowaniu słowackiego języka, kształceniu ludu, szlachetnym boju za duchowe prawa narodu. Powołani do dawania duchowej strawy ludowi naszemu powinność tę spełniliśmy, o ile starczyły siły. Każdy sprawiedliwie myślący człowiek przyzna, że działalność taka jest dozwoloną, patryotyczną i lojalną. Więcej nie robiliśmy nic. Nie uganialiśmy się za politycznemi marami.

A mimo to cóż się działo? Gdy synowie nasi czytali słowackie książki i prywatnie ćwiczyli się w swoim ojczystym języku, ministeryum ogłosiło proskrypcyę, chłopców naszych wygnano nietylko ze szkół, ale z ojczyzny!! Za co?!

Następnie poczęto szczuć przeciwko słowackiej prasie. Bezwstydni łgarze cytowali na publicznych konwentach, zgromadzeniach itd. takie artykuły, rzekomo z naszych pism wyjęte, których ani słowacki zecer nie składał nigdy, ani nie tłoczyły maszyny nasze.

Jedno tylko, ale to już daremnie: słowakami jesteśmy i będziemy nimi, choćbyśmy jeszcze cięższe

dni przebyć mieli. Słowacki naród istnieje, żyje i mówi swoją słowacką mową, i pozostanie słowackim. Tego jednak trudno uważać za zdradę... choćby węgierskiej ojczyzny...“

Niepotrzebne drażnienie. Pisma czeskie uskarżają się dosyć często na uszczypliwość polskiej prasy, ustawiczne podejrzywanie i niechęć nieuzasadnioną. Objawy takiej nieprzychylności i niewyrozumiałości w niejednym wypadku spotykamy w galicyjskich zwłaszcza pismach, przyczem na pochwałę czechów dodać należy, że nie dolewają oni nigdy oliwy do ognia, ale przeciwnie, taktownie starają się zawsze zażegnać nieporozumienia. Te powtarzające się w ostatnich czasach wycieczki z polskiego obozu przeciw czechom spowodowały nawet umiarkowany *Pokrok* do energiczniejszego wystąpienia w osobnym, sprawie tej poświęconym artykule.

„Niektóre pisma polskie — pisze on — lubują się w ciągłem podburzaniu przeciw czechom. Twierdzą one mianowicie, że nasi politycy nie dbają dostatecznie o interes polskich swych sprzymierzeńców. Niedawno dopiero wykazaliśmy, o ile nieuzasadnionemi były polskie skargi z powodu językowego rozporządzenia ministra Prażaka, którem rzekomo narodowości polskiej wyrządzono krzywdę na korzyść czeszczyzny. (W rzeczywistości rzecz się tak ma, że oba słowiańskie języki nie zostały jeszcze dotychczas należycie równouprawnione z niemieckim. *Przyp. Red.*) Odpowiedzieliśmy na to przedmiotowym rozbiorem rzeczy, i polskie pisma, uznając widocznie słuszność po naszej stronie, dały już spokój tej sprawie. Obecnie zaś wystąpiła inna gazeta (*Reforma* krak.) z zarzutem, jakoby czesi nie popierali dostatecznie w Radzie państwa wniesionego przez rząd projektu o kredycie melioracyjnym, który przedewszystkiem byłby korzystnym dla Galicyi, pod względem ekonomicznym, jak wiadomo, bardzo zaniedbanej. Otóż zaręczyć możemy, że przedstawiciele narodu czeskiego przeciwko tym słusznym żądaniom wcale nie mają zamiaru występować, a jeżeli odzywały się głosy za oszczędnością, to policzyć je należy na karb oszczędnościowego programu ministra finansów, dr. Dunajewskiego, *polaka*. Z tego jednak powodu nie należało wyrzucać odrazu posłom czeskim niebywałej złości ku polakom i niechęci w niesieniu pomocy. O sprawie tej będzie jeszcze dosyć mówić i w klubach komisyi melioracyjnej, a obsypujące nas zarzutami pismo polskie przekona się dowodnie, że nie myślimy braci naszych opuszczać. Po cóż więc na uciechę wspólnego naszego wroga przedstawiać rzeczy tak, jakoby były sporne, skoro chodziło tylko o objektywną wymianę myśli?“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ustawodawstwo. Rada państwa w sprawie wprowadzenia ustaw sądowych do gubernii północno-zachodnich postanowiła:

I. — W guberniach: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, mohylewskiej i witebskiej wprowadzić, w ciągu ostatniego kwartału r. 1883, ogólną ustawę sądową, na zasadzie uchwały z 2 grudnia roku 1864 i najwyżej zatwierdzonej 1 lipca r. 1877 opinii Rady państwa—co do zastosowania tej uchwały w całym jej zakresie do dziewięciu gubernii „zachodnich.“

II. — Potrzebną na utrzymanie w r. 1883 pomienionego ustawodawstwa sumę rs. 242,675 wciągnąć do właściwych pozycyj budżetu wydatków ministeryum sprawiedliwości. Nadto wyznaczyć do rozporządzenia tegoż ministeryum w tymże roku i wciągnąć do powyższego budżetu: *a*) jednorazowo rs, 232,000 na wydatki wprowadzenia ogólnej ustawy sądowej w sześciu guberniach „północnozachodnich“, i *b*) rs. 26,660 kop. 8 na utrzymanie osobistego składu izby kryminalnej i cywilnej w tychże guberniach wciągu dwóch miesiecy po zaprowadzeniu nowych sądownictw.

III. — Począwszy od 13 stycznia r. 1864, wciągać na utrzymanie pomienionego w art. I ustawodawstwa po rs. 970,700 corocznie do właściwych pozycyj budżetu wydatków ministeryum sprawiedliwości.

IV. — Określone w art. II i III wydatki zaliczyć na rachunek kasy państwa, mające zaś utworzyć się reszty z kredytów, wyrażonych w tych artykułach, dołączyć do jego wolnych kapitałów pomocniczych.

V. — Pozostawić kompetencyi ministra sprawiedliwości: 1) zamianowywanie do nowych sądownictw: wszystkich urzędników, i, na trzy miesiące przed otwarciem, udzielanie tym osobom pensyi z sumy, wyznaczonej na jednorazowe wydatki zaprowadzenia reformy sądowej (rs. 232,000), oraz zobowiązywanie tychże urzędników do brania udziału w roztrząsaniu i rozstrzyganiu spraw, należących do sądownictw dawnej organizacyi, i 2) używanie określonej w punkcie *a* art. II sumy i na inne potrzeby, tak co do czasowego wzmocnienia owych sądownictw w sześciu guberniach „północnozachodnich“, jakoteż wogóle co do zarządzenia środków, koniecznych dla pomyślniejszego wprowadzenia w życie ustawy sądowej w tych guberniach“.

— Co do wzmocnienia etatu zjazdów sędziów pokoju Rada państwa postanowiła:

I. — W najwyżej zatwierdzonym 3 marca roku 1875 etacie instytucyi sędziów pokoju w warszawskim okręgu sądowym poczynić następujące zmiany i uzupełnienia: *a*) przy zjazdach sędziów pokoju (z wyjątkiem warszawskiego zjazdu miejskiego) otworzyć po jednej posadzie podsekretarza, z przywiązaniem do niej: klasy X co do rang, — kl. X co do wyszycia na mundurze, — i kl. VIII co do pensyi, oraz po rs. 500 pensyi rocznej; *b*) pensye sekretarzy zjazdów pomienionych powiększyć każdemu z tych urzędników o rs. 300 rocznie, i *c*) na wzmocnienie biurowych środków zjazdów wskazanych w punkcie *a* wyznaczyć do rozporządzenia ministra sprawiedliwości po rs. 5,000 rocznie, pozostawiając do jego uwagi podział tej sumy między pomienione instytucye.

II. — Sumę potrzebną na wykazane w art. I nowe wydatki w ilości rs. 21,000 rocznie, wyznaczać z kasy państwa i wciągać, począwszy od 13 stycznia 1883 rs, do właściwej pozycyj budżetu wydatków ministerium sprawiedliwości.

Uniwersytety. Dr. Jan Baudouin de Courtenay, dotychczasowy profesor językoznawstwa porównawczego w uniwersytecie kazańskim, powołany został na takąż katedrę do Dorpatu.

Nauka. P. Taczanowski, kustosz gabinetu zoologicznego warszawskiego, wydelegowanym został do Paryża i Londynu dla zwiedzenia tamecznych gabinetów zoologicznych. W celu naukowym również, a mianowicie dla zbadania sposobów i metody kraniometryi i kraniologii, wyjechał za granicę prof. Wrześniowski.

Teatr. Komitet teatralny zalecił do grania sztukę Dumasa *Małżeństwo za Ludwika XV*. Na scenie Teatru Wielkiego ma być wkrótce wznowiony dramat Emila Augiera *Syn Giboyera*. Rozdano też do nauki role z trzyaktowego dramatu pani Zofii Mellerowej *Kto winniejszy*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Z. P. w Warszawie. Utwór Pański dla nas nieprzydatny. Jeżeli zaś przydatną być może Panu nasza szczerość, to wyznajemy, że jest to owoc bardzo niedojrzały.

P. Michałowi P. w Szamajówce. Akurat wszyscy trzej wymienieni przez Pana abonenci nie figurowali w naszej liście, a zatem prenumerowali *Prawdę nie u nas i nie nasza* administracya jest winną nieregularnego odbioru pisma. Dodatki, o ile ekspedyowane z naszego kantoru zaginęły na poczcie, wyślemy ponownie.

P. J. P. Wiersz Pański jest pospolity w osnowie, a słaby nietylko w rymie, ale i w rytmie.

P. K. K. w Tomaszpolu. Ofiara Pańska zaznaczona w nrze 1 *Prawdy*.

P. I. T. w Moskwie. Odpowiedzieliśmy listownie.

P. W. S. w Rydze. Iliada przekład P. Popiela (rs. 1), Odyssea tłom. L. Siemieńskiego (rs. 1 kop. 50), *Historya Literatury polskiej* Spasowicza lub Kuliczkowskiego.

P. B. Męcz. w Kijowie. Prenumeratorów *Ogniska* wskazywaliśmy w *Prawdzie*. Właściwe nazwisko Hodiego Tokarzewicz, mieszkał w Paryżu a obecnie w Galicyi. W wiadomej sprawie: czyż za ostro? Prosimy porównać. Co do ostatniego pytania: dziś już tylko *Kuryer Codzienny*.

P. *Maryi P. w Krasnopolu.* Komplet *Prawdy* z r. 1881 u nas wyczerpany, nabyć można tylko prywatnie.

P. *Gustawowi W. w Kurganie.* Nie słyszeliśmy, w każdym razie nie zapowiedziane.

Księdzu T. K. Właśnie i my to wyznajemy, że „księża to także ludzie,“ których trzeba szanować, gdy są dobrymi obywatelami kraju, i potępiać, gdy są złymi.

OFIARY.

Na kasę Mianowskiego. W. S. z Rygi rs. 5.

Na pomnik Mickiewicza. W. J. Czechrajski rs. 1, Marya Waniewicz z Kielc rs. 3.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Grabiński z kopalni Jan kop. 50.

Na wpis dla biednych uczniów. Alicya Hasfort z Lemieszówki rs. 5, Marya Zieleńska z Tarasówki rs. 5, Leon Łotocki z Olgopola rs. 3, W. S z Rygi rs. 5, Wygrane u M. N. rs. 2 kop. 6, Zebrane w Zakryniczu i Dziunkowie rs, 15, Waryńska z Babina rs. 3, Marya Stanisławska rs. 1, Cieszkowska z Rybaszek rs. 1.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Декабря 1882 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.